



Krajobrazy Słowa

Pokłosie
XXIV Konkursu Literackiego

Kędzierzyn-Koźle 2017



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Antologia poezji i prozy laureatów konkursu literackiego

MBP
KĘDZIERZYN-KOŹLE



Kędzierzyn-Koźle 2017



Projekt logotypu „Krajobrazy Słowa”

Leszek Ołdak

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Dariusz Herbowski

Opracowanie redakcyjne i korekta

Jan Andrzej Fręś

ISBN 978-83-941650-2-4

**Wydano nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Kędzierzynie-Koźlu**



SPIS TREŚCI

Wstęp

Karol Maliszewski – Wiosna 2017. Z notatnika jurora 7

Antologia

Marta Koton-Czarnecka – godło „Cottonclub” 11

Paweł Skiba – godło: „Tom. A. Hawk” 21

Paulina Sawicka – godło: „Paterson” 31

Paweł Ciach – godło: „Karola” 51

Marta Jurkowska – godło: „ryba” 61

Agnieszka Marek – godło: „Polaris” 69

Katarzyna Szweda – godło: „Łata” 75

Katarzyna Kowalewska – godło: „nieistotne krajobrazy” 81

Urszula Kopeć-Zaborniak – godło „szklany człowiek” 87



WSTĘP

Wiosna 2017. Z notatnika jurora

Żartowaliśmy sobie w gronie jurorów, że jakaś szczególna żeńska energia określiła początek tego roku i przedwiośnie, wydając na świat oryginalne literackie plody. W tych żartach jest jednak coś, czemu zaprzeczyć nie można. Jeszcze nigdy w historii tego konkursu tak wiele laurów nie zdobyły kobiety. Jeśli chodzi o poezję, to pomysły panów wydały nam się wątłe i zwietrzałe, dojrzałe zaś i zastanawiające słowa padły z ust pań.

Pięć wierszy Marty Jurkowskiej układa się w całość, w opowieść o relacji między Bogiem a człowiekiem. Wiele traktatów teologicznych napisano na ten temat, wiele kazań wygłoszono, lecz chyba tylko poezja potrafi ufundować nam ten rodzaj przeżycia, że w jednym błysku jesteśmy w temacie i jednocześnie ten temat pojmujemy. W tych wierszach człowiek wciąż do Niego mówi, licząc na jakąś głęboką, utajoną obecność i współodpowiedzialność.

Agnieszka Marek również zaprezentowała opowieść, przepływającą z wiersza na wiersz historię samotności, porzucenia nie przez Boga, lecz drugiego człowieka. O nim mówi się bez przerwy, jego urojoną czy rzeczywistą obecność wciąż stwarza. Jednak „namiastki obecności // nie

bawia, nie mówiąc o pocieszaniu”. Pozostaje tęsknota za międzyludzką przygodą, za podróżą w kolejne nieznanne, które tak szybko może się stać znanym i kochanym. Na to się czeka na stacji (życia). Trochę jak na pociąg, którego opóźnienie niepokojąco rośnie.

W potocznej opowieści Katarzyny Szwedzkiej ważna jest ziemia i nasze do niej – dosłowne, ale i metafizyczne – przywiązanie. Ważna jest rodzina, pamięć przodków, przyroda i dawane przez nią znaki. W dynamicznym wierszu Szwedzkiej mieszają się różne porządki, najczęściej ten realny z onirycznym, już prawie magicznym. Kawał prawdy o życiu, jeszcze więcej prawdy o śmierci i naszej dumnej wegetacji spełniającej się między tymi biegunami.

Z kolei w wierszach wyróżnionych pań tematem wiodącym wydają się przygody kobiecości (czytaj: niecodziennej wrażliwości) w świecie ani miłym, ani też niedającym się łatwo oswoić, na przykład ująć w uczuciowe karby. Ten świat nie chce być kochany i dobrze mu w chłodnym uporze. Bohaterka utworów Urszuli Kopeć-Zaborniak odczynia w związku z tym coś na kształt baśniowych uroków, tworząc małą, podręczną mitologię, natomiast w wierszach Katarzyny Kowalewskiej na okrucieństwo świata odpowiada się okrucieństwem obrazowania. O żadnej baśni czy też mitologizujących negocjacjach mowy być nie może. Ostre, drapieżne kadry nie pozostawiają złudzeń. Kobiecość już dawno przestała być w polskiej poezji synonimem słodkiej bezszyfrowanej.

Z jeszcze innym jej rodzajem (i literackiego jej ujęcia) mamy do czynienia w prozie Marty Koton-Czarneckiej. To kobiecość pokonana albo złamana, szukająca w mężczyźnie (męskości) jakiejś sensownej odpowiedzi, lecz nieznajdująca... Bolesna kobiecość przechodząca z matki na córkę, wyładowująca się w paroksyzmach wściekłości, żalu i wizji upostaciowanych przez siniaki i „śniaki”.

W opowiadaniu Pawła Skiby też ważne są kobiety. Życie młodej i śmierć starej przeplatają się ze sobą. W tle delikatnie uśmiechnięci, jakby

zażenowani faceci, wiedzący o tym, że klucz do tajemnicy bytu spoczywa w rękach i sercach otaczających ich kobiet. Kto mądry, taktowny, a przede wszystkim czuły, potrafi go zdobyć. W tym wyjątkowym dniu (wigilia) niczym w soczewce kumulują się wszystkie uczucia i domysły, życie staje przed oczami w całej okazałości i bezsile.

A może być tylko snem, jak to niektórzy poeci i filozofowie przypuszczali. Paulina Sawicka dołączyła do nich, pracując nad opowiadaniem (a może to jednak fragment powieści) pt. „Razi mnie miasteczko”. Chłopięcy narrator krąży między światami, myląc rzeczywistość z nierzeczywistością i doprowadzając czytelnika do takiego stanu, że ten nie wie, z jakim rodzajem bytu ma do czynienia. Jedno nie ulega wątpliwości: ważne miejsce, a może nawet decydujące, we wrażliwości i wyobraźni bohatera zajmuje kobiecość – ni to dziewczęca, ni to już matczyzna. W wesołym miasteczku życia ona pokazuje drogę, ustanawia porządek. Nie zgubisz się, jeśli masz swoją Pestkę. A że chwilami w tej wędrówce zatracasz poczucie rzeczywistości i ocierasz się o szaleństwo, to nie ma większego znaczenia. Warto zapamiętać tę prozę i jej autorkę, ja pokładam tu spore nadzieje.

Opowiadanie Pawła Ciacha pointuje te rozważania. I znowu, a jakże, intrygujący obraz kobiecości. Zdawałoby się, typowej, szkicowanej z erotyczną zawziętością wiecznego łowcy (mówię o narratorsze). Udało się jednak wprowadzić do tego rzekomo banalnego obrazka kilka niepokojących płam. W ich świetle nic nie jest proste; ani miłość, ani pożądanie, ani sztuka, ani też kicz.

Nie wiem, dlaczego wiosną 2017 roku tak się stało, tak się ułożyło: uznaliśmy głos kobiet, bądź kobiet dotyczący, za tak ważny, mocny, pokazujący przyszłość. Może to właśnie one w tym momencie (społecznym, politycznym, kulturowym) najwyraźniej ją widzą.

Karol Maliszewski



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Marta Koton-Czarnecka

godło „COTTONCLUB”

Nagroda Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle

Marta Koton-Czarnecka

Z zawodu dziennikarka, głównie naukowa i medyczna, ale niestroniąca także od tematów zaangażowanych społecznie, przede wszystkim związanych z prawami osób niepełnosprawnych. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”, a także w periodykach „Wprost”, „Focus”, „National Geographic”. Autorka opowiadania „Migawki” w antologii „Autostop(y)”.

Śniaki

„Odpukaj w niemalowane, może ktoś odpowie”

Jakub von Tanna

I

Drżenie. Dygot firanek. Upał czekający pośrodku pokoju i przebudzenie po niewłaściwej stronie łóżka. I nie ma ciebie, nie ma nawet przeciągu. Tylko ten upał stężyły stoi jak złodziej w półkroku, kiwa się nade mną, naciąga kołdrę na głowę, coraz szczelniej, byle się nie budzić, nasączy łóżko potem rozgorączkowanego ciała. I nie ma ciebie. Nawet zapachu. Nie zostało nic. Odparowałeś, pozostawiając tylko cień. Jestem cieniem po tobie. Jeszcze nie chcę. Nie, jeszcze mnie nie budź. Nieuchronny poranek. Trudno się z nim dogadać. Drży nade mną, ale walczę. Śliskie od łez palce przekładam z miejsca na miejsce, przesuwam po pościeli, szukam suchego ładu i spadam na podłogę. Łup! Nie chcę się budzić po niewłaściwej stronie. Zaraz zacznie się wycieczka w kolejny dzień. Rozgrzechoczą się sztućce w szufladach, zaterkocze zastawa w ciężkim kredensie. Drgawki wstrząsają ramionami, powieki odmykają się jak pokrywki garnków wleczonych po wyboistej drodze.

Leżę skulona na podłodze. Przeczekuję. Czasem godzinę tak leżę, czasem dwie. Na wpół uśpiona, na wpół wyjawiona. Wyjałowiona na jawę z majaków i rojeń o tobie. I ten siniec poranny zawsze w tym samym kształcie. Przeczuję wszystkie objawy życia – metro w śródmieściu przetacza ludzką krew do biur i korporacji, a nowe linie powoli, niczym

pęknięcie na tafli jeziora, idą pod moją podłogą, żeby i mnie zabrać, i jeszcze senną wciągnąć w to szaleństwo jak Calineczkę w krecie korytarze. Kiedy zaczynam śnić, kończy się samotność. Kiedy się budzę, wyczekuję nocy. Bo jak ty tam, ja pielgrzymuję do ciebie w snach. Nie jesteś już Jarkiem, przestałeś być jary, stałeś się ozimym. Teraz nazywam cię Santiago.

Już czas na nią. Jest zwierzęciem dnia, ja w jej wieku też należałam do dnia. Potem do dnia i nocy. Teraz tylko do nocy. Teraz jestem zwierzęciem nocy. Ale już czas na nią. Zaraz usłyszę jej drobne kroki i delikatne skrzypienie podłogi. Przyjdzie i przywróci świadomość. Nasz skarb. Powie: „mamo, siku!”, rozejrzy się po pokoju, jakby szukając ciebie, i dzień zacznie się toczyć. I będzie w nim ona, zagnieżdżająca się jak mgła, małeńka gźdza dnia, zagnieżdżona jak zarodek kijanki w złocistej kulce skrzeku. Dla mnie ten dzień będzie zwyczajnie płaski jak czekoladowy dolar.

- Mamo, jestem głodna, dasz mi jeść?
- No jasne, córeńko.
- To wstań z podłogi, mamo. Znowu masz ten ślad na ręce.
- Tak, to muszla świętego Jakuba, to znak! Będziemy miały wiadomość od taty. To znak!

Weź kluczyk i idź do skrzynki. To znak.

Cieszę się, że jest już taka duża i mądra, umie znaleźć nasz numer skrzynki i wybrać listy. Wbiega rozbawiona, krzyczy, wymachuje zwitkami papieru – rachunki, reklamówki, awiza. I jest! Jest też i ona – wytęskniona, wyczekana tekturka pocztówki. Żyję w rwanym rytuale kartek pocztowych. Siadamy w kucki na środku dużego pokoju, obok masywnego stołu. Tam w górze jeszcze do niedawna rozgrywały się poważne rozmowy, teraz ten poziom nas nie interesuje. Jesteśmy same. Czytamy:

Kochane, idę Via Regia, klasycznie. Staram się mijać znaki pielgrzymie, żółte muszle na błękitnym tle. Dotarłem już do Wrocławia. Z Lublina przeszedłem przez słoneczne drogi Sandomierza. Potem Olkusz. Pomimo dławiącej mnie beznadziei widzę piękno, które nas otacza. Nie mogę jednak smakować go w pełni, coś nadal trzyma za gardło. Wciąż chciałbym po prostu nie istnieć. A może to zwykła tęsknota? Koniecznie musimy kiedyś pokazać Misi Jurę z jej białymi zamkami z wapienia. Nadal nie mogę spać. Żadnych pieniędzy nie podjąłem. Wyrzuciłem kartę bankomatową i waham się jeszcze nad telefonem. Wrzuciłem ją prosto pod glebogryzarkę. Została zmielona razem ze rżyskiem. Rolnik nie wiedział, z czego tak się śmieje. A ja stałem jak głupi i wpatrywałem się, jak on radośnie jeździ po polu. Mimo lęku przed nieuniknionym — chodzeniem po prośbie — czuję, że mam wszystko co trzeba. Wchodzę na właściwy szlak. Czuję, że to dobry kierunek. Ucałuj małą, a my widzimy się w snach, o tej samej porze, co zwykle.

Ja(rek)

– Nic nie rozumiem, mam. Co on tam bez nas robi?

– Idzie, córciu, idzie. My idziemy tutaj do szkoły, do pracy, on idzie tam przed siebie. Kiedyś zrozumiesz. Być może.

– Ale dlaczego nie może iść tutaj, razem z nami?

– Musi iść tam. Niedługo wróci do nas. Dojdzie do świętego miejsca, znajdzie maleńki talerzyk z morskiej muszेलki, zacerpnie nim wody ze świętego źródła i wróci silny, zdrowy i szczęśliwy!

II

– Musimy porozmawiać – mówisz i już robi mi się gorzko w ustach. Czuję smak nieumytej brzoskwini. Drętwieją mi wargi. Siadamy do stołu. Stół ma sówie łapy, jest z ciężkiego dębu, pokryty siatką pęknięć jak twarz babki. Czekam, kiedy zacznie się marszczyć i przemówi. Jest mi

obcy. Wrogi. Siedzimy pokręceni. Gotyccy od przejść ostatniego roku. Pokręceni w konarach, zasepieni w sękach czarnego blatu.

Wykładasz karty na stół. Opowiadasz o lękach, szpagacie w szufladzie i poczwórnym szpagacie na haku w piwnicy, który czeka, odkąd zerwał się ten od bielizny. Dłużej nie wytrzymasz. Do psychiatry nie pójdziesz. Na psychotropach trzepie się kilka ciem twoich przyjaciół. Nie chcesz być jak oni – neuronalnie otumaniony, synaptycznie zaprogramowany, zależny od kolejnej dawki. Masz inny pomysł. Czemu tak spokojnie go słucham? Czemu się zgadzam? Może też mam dosyć tych nerwów na wierzchu, tej drażliwości? Może wierzę, że wrócisz obleczony w grubszą skórę? Może masz ze mną za dobrze, bo jedyne, czego wymagałam, to żebyś mnie kochał? Dobrze, idź. Idź, bo i tak cierpimy razem czy osobno. Tylko co z nią, owocem żywota naszego, Misią? Naszą wspólną misią? Wciąż mam w głowie twój dźwięczny zaśpiew, kiedy przymierzaliśmy się, żeby nadać jej imię. Pogłaskałeś mnie po rękę i wyrzuciłeś, że jestem egzaltowana. Gdybyś wydał własnymi siłami owoc spomiędzy ud swoich, może znałbyś miłość inną nad własną? Rozumiem to – jesteś stworzony do oddania życia, ale życia dawać nie potrafisz. Zatem idź. Pielgrzymuj. Patetycznie.

III

Drugi miesiąc bez ciebie, znów budzę się po niewłaściwej stronie łóżka. Muszla świętego Jakuba mieni się na lewym przedramieniu kolorami benzyny. O czwartej nad ranem naznaczona sinymi, ponurymi bullami, stygmatyzując poranek. Znów będę się wstydzić, kiedy mała zobaczy siniaki i zacznie pytać, czy to od uderzenia piłki, kamienia? A potem znów pobiegnie do skrzynki na listy po kartkę od ciebie. Te kartki to znaki ostateczne, śniaki, sinawe poszlaki. Czytamy już bez rozumienia. Czyste emocje. Czuję się jak nieuk, nie chcę nic wiedzieć, nic rozumieć. Tylko czuć. Misia przynosi kolejną pocztówkę. Jest zmięta, poplamiona. Widzę, jak się męczyłeś pisząc ją, niszczyłeś i prostowałeś.

Niemcy, Drezno, zapuściłem brodę i udaję niemowę. Zapuściłem siebie. Choć przelamałem wstyd proszenia o jałmużnę, nadal czuję się jak żebrak i nie do końca dobrze to znoszę. Ostatnio chciałem nawet wrócić tam, gdzie nakarmiłem pole kartą do bankomatu. Wyciągnąć ją, iść do sklepu, kupić wszystko, czego nie widziałem od miesiący i napchać się tym. Zapchać tę pustkę. Po mnie, po was, po szczęściu, które dawno utraciłem. Uściskaj żółwia, tego łapserdaka. Misia dba o niego? Pozdrów Misię, powiedz jej, że tata wykonuje ważną misję. Tak przynajmniej zdaje mi się. Pozdrów Misię.

Ja(rek)

Płacę tak długo, że nie mogę się ruszać. Co zrobiliśmy ze swoim życiem? Dlaczego nie możemy być razem? Iść razem, żyć razem? Dlaczego nie ma gwarancji, że można mieć coś na dłużej? Będę dziś płakać długo. Wezmę urlop na żądanie i na urlopie płakać będę.

IV

– Mamusiu, mamusiu, mamo! – Szarpiesz mnie po niewłaściwej stronie łóżka. Przygotowujesz do największej roli. – Mamusiu – szepczesz do ucha i kładziesz się na mnie całym ciałem. Dociskasz do rozchybotanej wersalki, wczepiasz ręce we włosy, szarpiesz za głowę. Jesteś brutalny i doprowadzasz do spazmów. Chcę cię, chcę cię nosić w łonie, chcę cię urodzić i nic nie uronić. Zaraz ci powiem, jak bardzo cię kocham. Twoja twarz zmienia się. Raz jesteś dorosłym mężczyzną, raz dzieckiem. Chcesz, żebym wzięła cię z powrotem do łona, ukołysała w bezpiecznej bańce brzucha i niosła przez świat.

– Mamusiu, mamo! Obudź się, wstań z podłogi, znów masz te znaki na rękach. Znów te siniaki, te śniaki – Misia szarpie mnie i z nienawiścią widzę dalszy ciąg poranka. Łazienka, kuchnia, mleko, tornister, bućki. I te pytania, kiedy wróci. Kiedy przyjdzie po ciebie do szkoły. Twój ojciec poszedł wychodzić depresję. Zetrzeć jej zrogowaciały naskórek o ścieżki

Europy. A my tutaj zdychamy od nadmiaru normalności, obowiązków i codzienności.

Ale nie zdechniemy tak szybko – przeczekamy, odeśpimy. Jest śniak, jest muszla Jakubia, leć Misia do skrzynki po kartkę, musi tam być. Czytamy przed wyjściem:

Niemcy, jeszcze wyjść z nich nie mogę. Squat w Kolonii pełen zaćpanych lewaków. Na ścianach graffiti, takie jak te kolorowanki, które robisz dla swoich pacjentów. Koloraki? Dobrze pamiętam? Obrzydliwe, rakowate, pokryte liszajem i już pokolorowane na brudno. Koloraki-lapserdaki. Spękane jak skorupa naszego zółwia. Od tygodnia mam wysoką gorączkę. Leżę ścięty głodem i pragnieniem, wycieńczony. Nakrywam się śpiworem i udaję niemowę. Ale gesty mam wymowne. Na migi każę im wszystkim wypierdalać. Wczoraj wyrwali mi język migowy. Połamali kij pielgrzymi, pastorat z zakrzywioną końcówką, którą pukałem do drzwi. Nie dojdę do celu, zdechnę w tej wilgotnej norze.

Ja(rek)

Czytanie na głos kończę w połowie kartki. Mała wierci się, bo chce wiedzieć, co dalej. Raczej nie dla ciebie ta wiedza, kochanie, więc tylko duszę wściekłość, łykam łyż, szarpię Misię za rączkę i wybiegamy z domu. Kartka ląduje w torebce. Dzień się dopiero zaczął, a już powinien minąć.

V

Śnił mi się śniak. Po raz pierwszy widziałam, jak się we mnie dokonuje. Kładłam się naga na plaży podczas przyływu i czekałam, aż napęlnię się falą. Jej ostre brzegi rozcinały mnie wzdłuż brzucha, a potem zielona ręka z błonami pławnymi pomiędzy palcami wrzucała mi w serce ziarnka piachu. Ziarna przetaczają się w żyłach i rosną otorbione chrząstką. Tak tworzą się perły, które wypłakuję każdego poranka. Jeszcze niejedna mnie toczy. Szukałam tej drugiej macicy, ale nie mogłam jej znaleźć, nie byłam

w stanie pozbyć się reszty. I tak tkwią we mnie skorupy, które wypycha tęsknota za tobą. Tak jest każdej nocy, zanim pojawi się śniak.

Już się przyzwyczaiłam do tych dziwnych kartek. Ostatnia przysłała z Bordeaux. Zatem Francja. U nas jesień siecze po nerwach deszczami i chłodem. Zaczyna się pogoda, a ja zaczynam się w sobie. Oddaliśmy się od siebie, rozdierani niezauważalnym ruchem samotnych tektonik. Pękamy podskórnice, a w mikropęknięciach tworzy się zapis cierpienia i tępej determinacji, żeby jakoś ulżyć sobie. Zdezenterować tak, żeby nikt się nie zorientował, kiedy ostatnia płyta lodowca odłączy się od stałego na pozór lądu, a na niej podryfuje w dorosłość nasze dziecko, pełne żalu, że nie daliśmy mu tyle, ile chciało dostać.

Śniaki powoli się goją. Od trzech tygodni nie było żadnej kartki od ciebie. I nawet mi z tym lepiej. Wpada Iza, żona rzeźbiarza. Rozmawiamy o duchowości. O potrzebie przejścia, inicjacji w naszej pokopanej rzeczywistości. Nie chce słuchać o tobie. Kręci głowę, wyklina cię od psych synów i wszelkich innych synów, aż mam ochotę ją dzielić torebką. Nie potrafi zrozumieć, jak zdrowy fizycznie mężczyzna może zostawić rodzinę. Nie znała cię, nie widziała, jak się męczysz.

– To zwykły kawał gnoja – mówi, nalewając wino. – Mój nie miałby powrotu. Wyszarpałabym mu jaja. I nie pomogą tutaj opowiadania o eliksirze i egzystencjalne życzenia. Święty Graal, eliksir życia? To jakieś mrzonki są. Santiago Kompostella? To się z kompostem kojarzy. Mógłbyś tą kompostellą użyźnić ci parę grządek truskawek. Bo takie cele warto sobie stawiać w życiu. Nie przekonasz mnie, to nawiedzony luzer jest.

Zaraz po jej wyjściu biorę dormicum. Ścina mnie z nóg. Znow śni mi się śniak. Śni mi się, że prawdziwe życie zdarza się tylko we śnie. I nie chcę się budzić. Czekam aż przyjdiesz do mnie.

VI

I się obudziłam.

VII

Jakoś tak się stało, że dziecko dorosło, a ja usiłuję ogarnąć obrzydliwy bałagan, w którym żyję. Straciłam rachubę czasu. Siniaki na rękach nie chcą znikać. Wyglądają jak tatuaże. Brzydzę się własnego ciała i nawet się nie myję. Niech śmierdzi i gnije. Wiem, że w skrzynce czeka na mnie pocztówka. Kolejny jednowymiarowy wycinek z cudzego życia. Długo się zbieram, żeby zejść do skrzynki. Muszę założyć choćby szlafrok.

Jest. Siedzi w skrzynce. Na kartce wielkimi literami napis: „SANTIA-GO DE COMPOSTELA”. Zatem dotarł do celu! Jeśli tak, i tu opadam z sił, to będzie wracał po śladach przez długie miesiące. A ja znów, cała w snach, będę broczyć majakami. Życie wciąż nie będzie niczym więcej niż lunatykowaniem. Z rezygnacją zaczynam czytać:

Mamo,

Nie otwierasz, nie odbierasz telefonów, umarłaś tym razem na serio czy znowu udajesz? Piszę po raz ostatni. Piszę, bo już nie mogę na ciebie patrzeć. Za to, co zrobiłaś, należy cię ukarać.

Dlaczego mi to zrobiłaś, dlaczego nie chciałaś się leczyć? Przez tyle lat wmawiałaś, że ojciec wróci, że nadal idzie, że wysyła kartki. Wszystkie jednak były takie same, z tym samym widokiem, bez znaczków, bez stempli pocztowych. I te twoje mediumiczne, mistyczne śniaki. Sny zwiastujące wiadomość od niego. Pielęgniarka powiedziała mi, że sama kąsasz się po całym ciele, tam gdzie tylko możesz sięgnąć. Wierzę, że nie byłaś tego świadoma. Wierzę, wiem nawet, że takich listów nie przygotowuje się w pełni władz umysłowych. Żałuję, że sama zaczęłam je pisać, kiedy ty już nie mogłaś. Tak

bardzo bałam się cię stracić, że uległam tej manii. Tylko po to, żeby cię na moment pobudzić, żebyś się ożywiła i zainteresowała mną choć przez chwilę. Żeby mnie tobie nie odebrali. Tak bardzo chciałam mieć dom.

Mamo, pamiętasz co mi mówiłaś, kiedy bałam się być sama? Odpukaj w niemalowane, może ktoś odpowie.

Odpukaj mi mamo, odpukaj mi wreszcie.

Misia – Misja



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Paweł Skiba

godło „Tom A. Hawk”

I nagroda w dziedzinie prozy

Paweł Skiba

Mąż, ojciec dwóch córek. Na co dzień pracuje w korporacji. Zajmuje się księgowością. Jego żywiołem są liczby. Gdy nie pracuje, zabawia się słowem. Mówi o sobie: grafoman-amator.

Wigilijny wieczór

Na początku było słowo... Matka odezwała się po raz pierwszy od dziesięciu lat. Treść sms-a była krótka: „Przyjedź na Wigilię. Umrę jeszcze w tym roku. Mama.”

Tomek siedzi w „Swojskim Busie” i jedzie do matki. Obok siedzi Sara. Zabrał ją, by pożegnała się z babcią. Matce Sary było to na rękę, bo zaplanowała, że Wigilię spędzi ze swoim nowym chłopakiem na Malediwach i Sara jej zawadzała. Tomek widuje Młodą co dwa tygodnie. Chce, by ich czas razem był wyjątkowy. Chciałby zerwać dla niej gwiazdkę z nieba. Kupuje jej wszystko, co akurat jest modne wśród jej koleżanek, wszystko, czego zapagnie. Czy jest taka rzecz, która ją może uszczęśliwić? Czy coś może ucieszyć nastolatkę w świecie obfitości, gdzie na nic się nie czeka i wszystko dostaje się natychmiast? W świecie „więcej, szybciej, bardziej”...?

– Co tam? – Sara odrywa oczy od smartfona i patrzy na Tomka z zaczepką w oczach.

– Nic, patrzę na ciebie...

– To powodzenia – odpala i zanurza się w swój wirtualny świat.

* * *

Bus zatrzymuje się i wyrzuca falę podróżnych. Większość ustawia się w kolejce po bagaż, tylko dwoje rusza w przeciwną stronę: 14-letnia

dziewczyna w czarnej skórce, z kolczykiem w uchu i w nosie (oba spięte łańcuszkiem) i gość po czterdziestce, który rozgląda się zagubionym wzrokiem. Dziewczyna ma puste ręce, facet obie zajęte: w jednej skórzana aktówka, w drugiej nabijany ćwiekami plecak moro. Wygląda na urzędnika, przygarbiony, niepozorny jak księgowy mafii.

– Masz ładowarkę? – pyta ona.

– Mam, córciu – odpowiada facecina i sięga do aktówki – o, zobacz, tutaj jest.

– To jest gówno, a nie ładowarka! Jaki ty w ogóle masz telefon? Przedpotopowy chyba...

– Ładowarka, córciu, mówię ci... Od Nokii...

– W dupę sobie załaduj... taką ładowarkę!

– Saro, proszę... Nie bądź wulgarna...

– Zepsułeś mi całe święta! Nienawidzę cię!!!

– Córca, na pewno da się to naprawić. O, zobacz, sklep RTV, tam na pewno będą mieli.

Wchodzą do sklepu. Dziewczyna przodem, otwiera drzwi i puszcza je mężczyźnie przed nosem. Facet w ostatniej chwili przytrzymuje drzwi, by nie rozbiły mu okularów, podchodzi do lady i pyta sprzedawcę:

– Czy mają państwo ładowarki do telefonów? Ale nie takie, bo ta ma złą końcówkę.

– Na mini USB – dopowiada dziewczyna i patrzy na księgowego z pogardą.

– Owszem, mamy. Zapraszam na stoisko z telefonami, druga alejka po prawej – i wymienia uśmieszek z dziewczyną, jakby mówił: „Ech, te dziadki, trochę techniki i się gubią...”

* * *

Brną przez zaspę i docierają do bloku.

– Córciu, na Wigilię zdejmij proszę kolczyki, bo dziadkowie mogą nie docenić Twojej indywidualności – prosi Tomek.

Sara patrzy na niego wzrokiem: „Taaa... jasne...”. W głosie Tomka pojawia się błagalny ton:

– Córcia, przecież kupiłem ci ładowarkę... Uratowałem święta, pamiętasz? – i sam się przed sobą wstydzi, że musi żebrać w taki sposób. Młoda ma chyba jeszcze odrobinę ludzkich uczuć, bo wypina kolczyki i mówi:

– Spoksik. Jak na security checku na lotnisku. Żelastwo na bok – i uśmiecha się szelmowsko.

* * *

Piiiiiiip – piaaaaa... Domofon dzwoni i krztusi się w pół dźwięku. Dzwonek jest przytłumiony, jakby ktoś rzucił na niego koc. Przyciski domofonu są przypalone zapalniczką, nie ma przy nich kartek z nazwiskami. Tomek pamięta, że rodzice kryją się pod szóstym od góry. „Swoj wie, a obcy czego tu szuka...” – myśli. Dzwoni jeszcze raz.

– Kto? – odzywa się ochryply głos, w którym ledwie rozpoznaje ojca.

– Tomek i Sara.

Wrrrrrrrrr... brzęczy domofon.

* * *

Tomek idzie przez zaśnieżony chodnik, a za nim kuśtyka ojciec. Idą z ojcem, jak dawniej, kupić choinkę. Kiedyś była tam łąka, na której Tomek grał w piłkę na pierwszych wagarach. Dziś z łąki wykiełkował zachodni hipermarket: „Polskie towary, najwyższa jakość, najniższa cena”. Tomek wybiera choinkę i pyta sprzedawcę:

– Czy jest jakaś posezonowa promocja? Dziś Wigilia, jutro już nikt tej choinki nie kupi...

Ojciec patrzy na niego ze zgrozą w oczach – za jego czasów nikt się nie targował.

Sprzedawca obrzuca ich wzrokiem, waha się przez sekundę i rzuca lekko:

– Tak, jest przecena, pięćdziesiąt procent. To co, pakujemy? – uśmiecha się.

Ojciec potwierdza skinieniem głowy, płaci i – jak dawniej – sięga po choinkę. Chce zarzucić ją na ramię, ale choinka jest zbyt ciężka i upada pod nogi Tomka. Ojciec jest zmieszany, a Tomek udaje, że nie dostrzegł jego słabości.

– Ja wezmę, tato. Ty płaciłeś, ja poniosę. Jakiś podział musi być – mówi ze sztuczną wesołością.

* * *

Sara siedzi z babcią. Odkłada smartfona i pyta:

– Babciu, tata mówił, że wkrótce umrzesz... To prawda? Nie jesteś przecież taka stara...

– Tak skrzacie, to już niedługo – uśmiecha się kobieta i zaszuszoną dłonią głaszcze dziewczynę po policzku.

– Ale skąd wiesz? – docieka Sara. – Jasne, każdy kiedyś umrze, ale przecież nie wiadomo, kiedy... – przekrzywia głowę i mruży oczy. – A może założyłaś się z dziadkiem, że umrzesz, dziadek ci nie wierzy i zrobisz mu na złość i wyskoczysz z okna? Ale by była jazda!

– Nie, dziecino, samobójstwo to grzech śmiertelny... – obrusza się babcia.

– No to o co chodzi...? Masz raka czy jak? Bo chyba nie HIV-a...

– Nie, malutka. Po prostu wiem. Przyszła do mnie moja mama...

– Ale ona chyba już nie żyje? – przerywa Sara.

– Tak... Przyszła we śnie i powiedziała, żebym się szykowała. Że już czas... Prasowała dla mnie błękitną suknię. Żelazkiem z duszą... – kobieta spojrzała na Sarę: – A ty w ogóle dziecino wiesz, co to dusza?

– Noooo... Mieliśmy na religii: „Dusza ludzka jest nieśmiertelna. Łaska Boża jest do zbawienia koniecznie potrzebna” i takie tam...

– Nie o takiej duszy mówię – uśmiecha się staruszka – kiedyś, gdy nie było jeszcze prądu w domach, żelazko miało w środku żelazną sztabkę, którą wkładało się do pieca i rozżarzoną przekładało do żelazka. Ta sztabka to właśnie dusza... Dziś już ludzie zapomnieli, co to dusza – uśmiecha się do wnuczki – takie bezduszne czasy mamy...

– Tak to działa? Twoja mama przychodzi do ciebie we śnie, trzyma żelazko z duszą i mówi: „dawaj duszę”? – pokpiwa Sara.

– Nie, skrzacie – babcia nie dostrzega ironii w głosie wnuczki – chodzi o tę błękitną suknię... Nigdy nikt w rodzinie takiej nie nosił... Po raz pierwszy widzisz taką suknię we śnie, gdy babka lub matka przychodzi po ciebie, by wezwać cię na tamtą stronę... Moja mama też taką suknię widziała tylko raz, na tydzień przed śmiercią... Ja też kiedyś dla ciebie taką wyprasuję...

* * *

Sara ubiera choinkę, z ciekawością ogląda zakurzone bombki. Działek wyciąga lampki, stare, każda żarówka wkręcana na gwint. Lampki nie świecą, któraś się przepaliła. Staruszek przynosi mały próbnik napięcia i sprawdza kolejno, czy prąd płynie do każdego gwintu. Nie widzi dobrze blaszki w środku i nerwowo przykłada „śrubokręt” do gwintu, ręce mu się trzęsą.

– Daj tato, ja pomogę – mówi Tomek. Ma uczucie deja vu. Ojciec coś wierci w drewnie, a Tomek, wtedy pewnie ośmiolatek, za wszelką cenę stara się pomóc i uzyskać aprobatę ojca. Tata co chwila się niecierpliwi, wydaje z siebie fuknięcia i pomruki dezaprobaty. Tomek chciałby zasłużyć na pochwałę, ale czuje, że nie jest dość dobry.

Teraz to ojciec jest tym nieporadnym, a Tomek stara się ojca angażować, każe mu przytrzymywać wykręcone lampki, chce, by tamten nie czuł się nie dość dobry. W końcu udaje im się znaleźć przepaloną żarówkę i sznur rozbłyska. Tomek przybija z ojcem piątkę. Nigdy tego nie robił, ale ucieszył go ten mały sukces.

* * *

– Co ty tam tak siedzisz w tej komórce – pyta dziadek. – Nie lepiej się z kimś spotkać, porozmawiać, albo chociaż telewizję pooglądać? Jak ty chcesz chłopaka poznać?

– Dziadku, ale ja właśnie piszę z chłopakiem – Sara odrywa oczy od telefonu.

– To nie lepiej się spotkać?

– No, ale jestem u was i dlatego się z nim spotykam w wirtualu. On jest daleko, ale ciągle możemy gadać, jakby tu był. Jest przy mnie jak się budzę, jest, gdy kładę się spać, a jak mi się coś złego przyśni, to wyciągam tel spod poduszki i do niego piszę. Do matki musiałabym iść do drugiego pokoju, a on jest na wyciągnięcie ręki.

– A skąd wiesz, że to on tam do ciebie pisze? Może ktoś się włamał do tego internetu i udaje twojego chłopaka?

– Dziadku... – śmieje się Sara – jego się nie da podrobić... On mnie rozumie w pół słowa, potrafi rozśmieszyć i wkurzyć na maksa. To na pewno on!

– No, ale jakby jakiś haker napisał genialny program, który by udawał tego twojego chłopaka? To jak byś poznała?

– Dziadku, a jakby ktoś zrobił robota, który wyglądałby dokładnie jak babcia, mówił takim samym głosem i miałby wgrany program tego twojego hakera, to jak byś rozpoznał, czy to babcia, czy nie?

Staruszek zastanawia się głęboko. Milknie na chwilę.

– Poznałbym – uśmiecha się szeroko. – Babci śmierzdzą nogi...

* * *

Babcia biega po kuchni i dogląda garnków. Sara pisze z koleżanką na Facebooku. Tomek siedzi nieswój, chciałby, żeby matka z nimi porozmawiała. Czuje, że zostało mało czasu.

– Mamo odpocznij sobie, mamy dużo jedzenia – mówi.

– Na Wigilię musi być 12 potraw – odpowiada matka i podnosi pokrywkę – jak było 12 apostołów, jak jest 12 miesięcy i 12 znaków zodiaku.

– Ale dwunasty apostoł to był Judasz, jego chyba nie chcemy wspominać – podśmiewa się ojciec, lepiąc pieroga. Matka zerka na niego z naganą:

– Patrz jak robisz, bo zostawiasz farsz na brzegu i się rozleci w gotowaniu.

Sara odrywa się od smartfona i mówi:

– A wiecie, że ostatnio wprowadzili trzynasty znak zodiaku? – klepie coś na ekranie i mówi – Wężownik. Pewnie na pamiątkę tego węża, co Adama i Ewę z raju wygonił...

Matka wznosi oczy do nieba, robi szybki znak krzyża i wzdycha. Ojciec puszcza do młodej oko. W domu pachnie grzybami.

* * *

Zupa grzybowa. Z łazankami. Jej smak jest mostem, który łączy dla Tomka Wigilię jego dzieciństwa z obecną. Wszystko inne się zmieniło. Rodzice zniedołężnieli, on rozstał się z Joanną, pojawiła się Sara. Przybyło mu siwych włosów, zmarszczek na czole i rozwianych złudzeń. A grzybowa wciąż smakuje tak samo. Dopóki matka żyje...

* * *

Śpiewają kolędy. Ojciec wpatrzony w choinkę, Sara czyta tekst ze smartfona, matka ze starej książeczki do nabożeństwa. Matka niedosłyszy. Tomek ze zdziwieniem stwierdza, że przez słaby słuch matka zaczęła strasznie fałszować. Jak nigdy wcześniej, jakby jej się struny głosowe rozstroiły. Sara zerka na niego i zaczyna chichotać, Tomek szczypie ją w ramię i syczy: „Nie śmieć się, głupia”.

* * *

Ojciec nigdy nic nie potrzebował. Wszystkie rzeczy, które do domu kupowała matka, były „niepotrzebne”. Tomek zastanawia się, na ile jego fascynacja minimalizmem zen i brak przywiązania do rzeczy są kopią ojcowskiego „niepotrzebne” i „niepotrzebnie kupiłaś”, ubraną w ładniejszą filozofię.

Czy naprawdę tak wiele dostałem w genach? – myśli i wchodzi do pokoju ojca. Wystrój niewiele się zmienił. Czas jakby się tu zatrzymał dwadzieścia lat temu. Dostrzega drobne zmiany – nie ma już patrzącej przenikliwie podobizny Kaszpirowskiego, który leczył niegdyś miliony widzów. Zastąpiła ją patrząca równie przenikliwie, lecz bardziej surowo, podobizna ojca Pio. Ojciec na starość zaczął bardziej troszczyć się o życie wieczne.

– Tato, możesz mi podać numer twojego konta w banku?

– Tomek, mnie konto niepotrzebne. Listonosz mi emeryturę przynosi do domu.

– Ale chciałem ci wysłać pieniądze. Na jakiegoś lekarza, leki – mówi Tomek, sięga do portfela i wyciąga kilka banknotów. – Proszę, tato, to na lekarstwa – i skrupowany kładzie pieniądze przed ojcem Pio.

– Nie trzeba, synu. Mi to niepotrzebne – mówi ojciec, a Tomek wychodzi z pokoju.

* * *

Siadają do stołu. Tomek czyta początek Ewangelii świętego Jana. Lubi Janową frazę: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga – i Bogiem było Słowo.”, czuje w niej jakąś głęboką prawdę. Łamią się opłatkiem. Matka płacze. Ojciec tuli Sarę. Na stole opłatek na sianku, w talerzach grzybowa z łazankami, jedno nakrycie tradycyjnie puste. Siadają do stołu.

Nagle dzwoni domofon. Piiiiiiip – piaaaaa... Słabnie w pół tonu. Matka biegnie otworzyć.

– Twoja siostra... – mówi do Tomka. – Też przyjechała się pożegnać.

– To ty masz siostrę? – Sara ma oczy jak spodki. – Nigdy nie mówiłeś...

Na początku było słowo...



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Paulina Sawicka

godło „PATERSON”

II nagroda w dziedzinie prozy

Paulina Sawicka

Pisze, kiedy może. Ogląda filmy, kiedy chce. Absolwentka filologii polskiej i filmoznawstwa. W pełne skupienie wprawiają ją filmy Andrieja Zwiagincewa i proza Williama Faulknera. Najlepiej poznaje ludzi, jeżdżąc autostopem. Za nieszczęście uznaje zbyt długie siedzenie w tym samym miejscu.

Razi mnie miasteczko

Dlaczego nie latasz? Przecież mógłbyś, jakbyś się postarał. Wystarczy powtarzać sobie „tak”, zabronić używać słów z „nie” i dmuchać na zimne. Ale jak tak można żyć, bez „poniedziałku”, „niebieskiego” i „ponieważ”? Lataj, tak mi często mówi Pestka. Boję się, że jak już zacznę to robić, to pomarańczowo-fioletowo-żółte refleksy tak mnie przerażą, że spierdole szybciej niż ten, jak mu tam, Ikar. Wtedy trzeba będzie przemalować wszystkie obrazy z nim w roli głównej na „Najszybszy upadek Pawcia”. To za duże zamieszanie, jak na jednego małego Ikara. Dlatego nie latam.

Jeśli wstaje mi się wyjątkowo opieszale, Pestka ratuje mnie anegdotką o najważniejszych wydarzeniach naszego wieku. Pół roku temu zmarł zabawny pan z wąsem, niezgrabnie wyciągający dłoń w kierunku nieba na plakacie w naszej kuchni. Dodatkowo nosił koronę, dziwne opaski i ponoć umarł na miłość. Pestka mówiła na niego „Freddi”, ale ona nie przywiązuje wagi do poprawności językowej. Słyszałem w radio o „Freddim” i nie omieszkalem powiedzieć jej tego o poranku. Musiała być zmęczona albo smutna do kwadratu małej kuchni. Nawet nie zareagowała. Bawiła się pudełkiem z płatkami cornflakes, dorysowując śnieżnobiałemu uśmiechowi modelki kły Draculi.

Poranek był misterną zagrywką. Mogłem tylko przeczuwać, w jakim stanie obudzi się Pestka. Były jej trzy pełnowartościowe wersje. Pestka rodzinnie zaangażowana ujawniała się przed moimi oczami w okazałości kuchennej. Posprzątany blat, przygotowane śniadanie, poranne wiadomości

hulające w telewizorze i ona, z podkrążonymi oczami, ale jakoś tak przyjemnie zmęczona. Pestka wściekle zamalowana robiła wszystko z podwójną prędkością. Chaos wkradał się do zakamarków mieszkania, a o śniadaniu mogłem tylko zapomnieć. Stawała się nieprzejezdanie ostra, złowroga, starsza. Wszystkie zmarszczki wychodziły wtedy na złość jej humorom. Nie będę zbyt męski w tej odstonie, ale najbardziej czekałem na Pestkę rażącą spokojem. Poprzedniego dnia jej coś nie wychodziło. Noc podarowała jej ogrom bezustannych myśli, litry melisy i płacz podczas dopalania petów pozostawionych w zakrętcie od słoika. Pestka rozmarzona, akceptująca, drżąca niepewnością. Nie przepadałem za porażkami. Ale z nimi wydawała się bardziej ludzka i na własność. Jak matka. To nie tak, że nią nie była. Bywała. Raz mniej, raz ze zdwojoną siłą. Tego poranka rozgrywała ze mną partyjkę w kółko i krzyżyk. Na zaśnieżonej od oddechu szybie kreśliła linie. Przegrała. Tak po ludzku.

Na moje oko trzynastolatka była wtedy ostatnią odstoną. Prawdopodobnie ojciec po raz kolejny miał „sprawy niecierpiące zwłoki” w Wieściszchowicach. Pestka mówiła, że to właśnie tam kryje się tajemnicza część rodziny, której nigdy nie poznałem. Wieściszchowice brzmiały dla mnie jak bajeczne miejsce pochówku Winnetou, gdzie z pewnością ojciec schował przed światem inną panienkę.

Pestka budziła mnie o wschodzie słońca pojedynczym szarpnięciem. Połkała spontanicznie nad zlewem, odkręcając bohatercko w tym samym czasie wodę w kranie. W nagrodę za brak niepotrzebnych pytań zgarnąłem nawet czerstwą piętękę. Ta Pestka to jednak mnie kocha, jak mi tak daje piętki, pomyślałem wtedy. Upierała się, żebym codziennie jeździł z nią, zamiast porządnie się wysypiać, modlić, grać w kapsle i zbierać karteczki. Co drugi to chciałby być na twoim miejscu, ignorancie ty, mawiała, gdy tylko zaczynała się batalia z zakładaniem butów.

To wcale nie jest takie zajebyte, jak się ma mamę w wesołym miasteczku. Nie wierzycie? Po sześćdziesiątej ósmej wizycie na karuzeli śmierci ma się ochotę na zwracanie resztek z komunii, a po trzech odwiedzinach

w domu strachów pozostaje zaskarżyć pomysłodawcę do trybunału. Byłoby jakiego, ale zaskarżyć. Żeby nikt nigdy więcej nie wpadł na pomysł, by niby zdechłe szczury robić z rolki po papierze toaletowym. Nie zapomnę miny staruszków, którzy szli przede mną pewnego dnia. Starsza Pani wbiła wzrok w podłogę i z dozą elegancji starała się wyminąć potężnego szczura we krwi. Nie zauważyła przez to trzech innych, starannie ukrytych pod czarną płachtą. Gdy poczuła, że jej zamaszyste udo przygniata do ziemi szarą istotę, zaczęło się. Strach, krzyk i zgrzytanie zębów. Założę się, że Starszy Pan nie widział jej takiej nawet wieczorami pod kołdrą.

Poznałem miasteczko wzdłuż i wszerz, naokoło i pod spodem, a na myśl o darmowej wacie cukrowej skręcało mi kiszki. Pestka obiecywała, że to już ostatnie takie miesiące. Powinieneś to docenić, bo potem na pewno nie będzie mnie stać na żetony, do roboty będziesz zapierdalać, zdrowy jesteś. Aha, mówiłem jej wtedy. Możemy się tak umówić. Tylko nie każ mi już jeść tej śmierdzącej gumisiowej waty, mruczałem pod nosem, jak wyrafinowany dachowy kocur.

Nieobecny ojciec też potrafił mnie czegoś nauczyć. W pierwszej klasie podstawówki zdradził mi tajemnicę, która sprawdzała się przez kilka następnych lat. Wróciłem wtedy w przepłakanim stanie. Umorusany od wszędobylskich gili w nosie i lukru ze słodkiej bułki, zmieszanego ze słońcą wersją łez. Gdy wyjawilem mu sekret o bójce z Dużym Billem, cmoknął ustami na znak zrozumienia i zaprosił do stolika. Najpierw zrobił moją ulubioną herbatę z aronii, mieszając ją czternaście razy, a potem wyciągnął z barku podłużną butlę cioci Basi. Położył powoli palec na usta i dołączył przezroczystego płynu do zabarwionej na czerwono herbatki. Nigdy więcej nie będzie takiego picia, pomyślałem po pierwszym łyku. Myśli przekształcały się jak w kalejdoskopie, dlatego po trzynastym siorbnięciu zabłysnęło: jak żyć, żeby codziennie było takie picie. Ojciec, poprawiając soczysty wąs, dał mi tylko jedną radę. Sznurówki, synu, przemówił, a dla mnie był to znak do wniebowstąpienia. Gorąc obezwładnił moje ciało, ale gdyby nie to, to kłękałbym u stóp ojca jak na niedzielnym kazaniu.

Bez ziewania, naturalnie. Sznurówki mogą cię ustawić do ósmej klasy podstawówki. Potem zostanie legenda. Mam to, wykrzyknąłem, zabierając ze sobą resztki czerwonej herbatki.

Przypominałem sobie ojcowskie kazanie codziennie, gdy przychodziło mi rozplątywać sznurówki. Ojciec miał sporo racji. Przez trzy miesiące po naszej rozmowie stałem się nielegalnym przedstawicielem sportowej I A. Zapodałem Dużemu Billowi mój plan na biznes, misternie rozrysowany na pomiętej pocztówce. Oddałem w jego władanie dziesięć procent zysku. Zebrałem grupę dziesięciu znajomych Billa i wspólnie kręciliśmy się przed przedszkolem. Głównym hasłem operacji zawiązywania butów były słowa Lamy: „Co ma się zawiązać, nie utonie”. Wyprodukowaliśmy około pięćdziesięciu karteczek, na których rozpisaaliśmy cennik. Codzienne wiązanie butów w tajemnicy przed nauczycielami i rodzicami kosztowało dwa złote albo słodką bułkę. W razie potrzeby można było wykupić karnet na cały tydzień. Przymykałem czasem oko i brałem drobne łapówki w postaci cukierków, ale o tym Bill miał nie dowiedzieć się przenigdy.

Dopiero po tych kilku miesiącach, po których zaczął nawet mówić mi siemanozią na korytarzach, zorientował się, że ma zdecydowanie za mało udziałów. Wystosował za mną list gończy, świadczący o mojej nieprawości i przetrzymywaniu wspólnego majątku. Tu z pomocą przychodziła mi Pestka. Duży Bill zgodził się na zamianę win. W zamian za zjedzone przeze mnie łapówki miałem mu załatwiać wejściówki do wesołego miasteczka. Klawy biznes, pomyślałem. Na widok karuzeli zwracałem słodycze, a w szkolnych zakamarkach ciągle kryli się mali, przerażeni i stali klienci. Przychodzili więc do mnie, by zawiązać im to, co przecież nie utonie. Ojciec mój i papa miał jednak rację. Bez legendy nie ma co marzyć.

Patrzyłem, jak niedbale zawiązuje morelowe sznurówki Pestka. Pogasiła światła, spojrzała cztery razy w lustro i pięć razy dotknęła kurków od kuchenki. Zatrasnęła drzwi. Pociągnęła za klamkę. Znowu otworzyła. I wtedy już wiedziałem, że Matka Pestka od Nerwicy będzie mieć gorzy dzień. Wyszliśmy. Na ubrudzony od deszczu asfalt, śliski od litrów

wylanego alkoholu, twardy od samotności. Gdy stałem na przystanku, poprawiając wełnianą czapę spadającą mi na oczy, Pestka odpalała papierosa za papierosem, jakby brała udział w wyścigu. Ojciec, pomyślałem wtedy. Ojciec musiał nabroić, kiedyś wprowadzi ją do grobu i nie będę płakał, będę musiał sobie radzić. Właściwie dlaczego miałby ją obchodzić stary, otyły baran. Odszedł, sam, bez proszenia się. Nie będzie musiała słuchać kanapowego mówcy, Arystotelesa dancingu. Zlekceważyła moje próby naprawy widoczności. Jednym szarpnięciem naciągnęła wełnianą czapę tak, że widziałem jedynie zarys końcówki nosa. Poczujęm, że do unoszącego się aromatu tytoniu dorzuca słodkie perfumy o zapachu winogron. Przy okazji dostało się także i mnie. W nagrodę oczywiście. Prosto w czubek nosa.

Pierwszy dzienny autobus, którym jechało zapewne $\frac{3}{4}$ osiedla, zawiózł nas do Absolutu Szczęścia. Pestka pracowała w tym wesołym miasteczku tak długo, że aż za długo jak na zwykłego człowieka. Ta sama krwiste czerwona budka, uśmiechająca się złowrogo na jej widok, stare powycierane napisy i popsute automaty z kulkami. Ale karuzela, samochody i dom strachów pierwsza klasa nieśmigana, stąd dzikie tłumy w kolejce już od samego rana. I jedyny taki popcorn od Jozina. Na maśle, dobrze obsmażony, w kartonowym pudełku, jaki mieli za granicą w kinach. Nikt nigdy nie poznał sekretnego składnika, który sprawiał, że popcorn tak rozpływał się w ustach. Nieraz służył mi za obiad i kolację. Śniadanie też.

Wesołe miasteczka to szkoły przetrwania dla dorosłych, a dla dzieci dzungla w środku miasta. Dzikusy chwytają się żetonów niczym lian, kołysząc się z miejsca na miejsce, zapominając o matkach, babciach i samotności. W Absolutcie Szczęścia nie było mowy o ostatnim aspekcie. Pestka przypominała mi to każdego dnia. Nawet jeśli ci się udaje uciec, wybiec, muszę powiedzieć, wiedzieć, „jestem” – krzycz. Taka była zasada. Pestka wchodzi do czerwonej budki. Wydaje zagubionym duszom różnokolorowe żetony, niczym kartki na meczu piłkarskim, a ja co godzinę, z każdym uderzeniem zegara podbiegam i daję znak, że jeszcze jestem. Od szóstej

rano do szóstej po południu było całkiem sporo tych „jestem”, ale nigdy nie zapomniałem. Nawet jeśli nie stawiałem się osobiście, to nauczyłem starego Jozina udawać mój głos. Krzyczał najlepiej. Nawet ja robiłem to gorzej.

Tego dnia wszystko trąciło tym rodzajem zwyczajności, który aż boli. Po wyjściu z autobusu Pestka kilka razy zatrzymywała się, by zawiązać niesforne sznurówki. Po czwartym podejściu zaproponowałem, że całkiem dobrze sobie z tym radzę, na co ona odburknęła. W isticie eleganckim stylu ściągnęła buty. Przyspieszyła bosego kroku. O szóstej rano czekał na nią gbur i szef zarazem, o pseudonimie artystycznym Wąsacz. Nawet na niego nie spojrzała. Mnie zaprowadziła do przebieralni. Włożyła do kieszeni sporo monet i jeszcze więcej zetonów. Niedbale pocałowała w czoło. Wyszła. Szósta rano. Co ma robić Pawcio w pustym miasteczku? Zadawałem sobie to pytanie na tyle często, że znałem je w innych językach. Pomagali turyści, z którymi najczęściej uczyłem się hiszpańskiego. Si, klaro ke si, no ne mada mas, no ne mada mas. Pestka zaprzeczała, jakoby posiadała talent lingwistyczny. Ale rozkoszowała się moim „żesli” w języku żabojadów.

Po pierwsze, zbytnio się nie wychylać. Po drugie, nie podrywać córy Wąsacza, a po trzecie nie kraść waty cukrowej tylko po to, by robić z niej gumisie. Więcej zasad nie pamiętam. Te były dla Pestki kluczowe. Wszystkie zamierzałem złamać. Zacząłem od starych wyjadaczy, Guntera i Grasa. W przyczepie śmierdziało zmieszana wonią starego EB z aromatem świeżych truskawek. Mimo to uwielbiałem ich budzić. A oni od miesięcy udawali, że tego nienawidzą. Tak się bawiliśmy. Używałem przypalonych garnków z resztkami oleju. Podnosiłem je nad ich głowami łapczywie. Olej w tym czasie powoli skapywał na ich zmarszczone czoła. Pierwszy był Gras. Otwierał nabrzmiałe od czerwonych krwinek oko, wypluwał ślinę gdzie popadnie (zdarzało mu się i na twarz Guntera), po czym próbował wykręcić mi rękę. Zanim jego pijacki refleks w ogóle się obudził, już byłem na zewnątrz, wystawiając język. Gunter budził się od hałasu. Cała operacja zajmowała nie dłużej niż trzy minuty. Stali przy roztrzaskanym oknie, pozaklejanym

ostatkami taśmy, i złorzeczyli, przekrzykując swoje struchlałe i nadszarpnięte głosy. Dojadę cię, synu klauna, raz, i niech porządny ojciec tyłek pierze, jak oni krzyczeli, tak nikt nie krzychał w całym Absolutcie. Ponoć Gunter był kiedyś mężczyzną biznesu. Przywoził kolorowe gazety z zachodu. Brak granic murowanych nie wyszedł mu pewnie na dobre. W miasteczku został mężczyzną od sprzątania gówien tygrysa.

Absolut to nie tylko zwykłe karuzele. W grę wchodzi jeszcze cyrk, taki prawdziwy, z zamkniętymi w klatkach zwierzętami. Bardzo długo bałem się tam wchodzić. Żywotem Maksia, czyli jedyne go, starego już tygrysa, zarządzał chudy jegomość o imieniu Lisek. Dopiero gdy dowiedział się, że jestem pierworodnym Pestki, zaczął puszczać mi oko i zapraszać do wejścia. Raz dał mi kawał mięcha, żebym wrzucił do klatki Maksia. Nie zrobiłem tego. Stałem z tym czerwonym płótnem dobre pięć minut. Po minie Liska było widać, że mięso jest jeszcze świeże. Musieli żywcem wyciągać je każdego poranka z jakiejś naiwnej sarenki, biegnącej tuż za autostradą. Od tej pory Lisek miał mnie za mięczaka. Tak jak ja tygryska, który nie mógł porządnie rozłożyć się w klatce, a co dopiero wyspać. Po widoku jego znużonej paszczy moje życie wydawało się pasmem egzotycznych doświadczeń. Obiecałem sobie, że nigdy nie zabiorę swoich dzieci do zoo. Prędzej pojedę z nimi do Afryki. Zobaczyłyby życie na najwyższym poziomie.

Nie do końca rozumiałem, czemu Wąsacz tak mi się przyglądał. Zajął się starymi andrutami, spacerując wokół rozbudzających się dopiero zabawkowych samochodów, zaspanej strzelnicy i zatrzymanych w czasie maszyn do łapania pluszaków. To właśnie tam stał najczęściej. Twierdził, że dzieci w moim wieku to sprytne zbiry, potrafiące wkładać kamyki zamiast monet do automatów, żeby wylosować zapchlona maskotkę. Co z niego za pajac, to nawet sobie nie wyobrażacie. Kto niby chciałby te obrzydliwe pluszaki? Za każdym razem chodziło o zakład. Odnalazłem odpowiednik monety dwuzłotowej, idealnie pasującej do maszyny losującej. Zakrętka od oranżady po spiłowaniu żąbków. Miałem nawet wdrażać

plan biznesowy, by zarobić na tym krocie słodczy. Niezbyt fortunnie zbierałem kapsle, chowając je w kartonowych pudełkach po płatkach corn-flakes. Pewnego dnia zaspana Pestka zabrała takie jedno i wyspała sobie dużą ilość zawartości do ciepłego mleka. Gnoju, nie doceniasz, zwolnią mnie pysk bity, nie będzie czego do kapsła włożyć. W skrócie.

O dziesiątej potulnie podbiegłem do zaczarowanej budki, krzycząc wniebogłosy „jesteeeeeem”. W kolejce po żetony czekała już grupa licealistów z pobliskiej wioski. Pestka dała mi znak dłonią, żebym uciekał i przestał być na następną godzinę. O dziesiątej trzydzieści zabrzmiała muzyka, zapaliły się czerwono-niebieskie światełka, a z pobliskiego drzewa odfrunęły wszystkie bladoszare ptaki. Karuzele poszły w ruch, Wąsacz postawił bodygardów przy maszynach z pluszakami, a sam oddalił się do przyczepy. Jako jedyny posiadał na własność kilka metrów kwadratów. Wyróżniał się na tle cyrkowych biznesmenów. Zamiast koszuli nosił sportową halówkę. Na nią narzucał idealnie wyprasowaną marynarkę, w której nosił paczkę rodzynek i zgniecione papierosy. Pestka skarżyła się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, że to drań jakich mało, bo nigdy nie dał obiecanej premii. Ale na dziwki to ma, lubiła spreeczować. Żebym się chyba nie łudził, że z niego porządny człowiek.

W godzinach burzy i naporu licealistów mogłem zająć się w pełni sobą. Z gazetki подарowanej mi przez sędziwego Jozina stworzyłem megafon, o którym długo będą pamiętać w Absolucie. Biegałem tak z nim wokół budki o dwunastej, trąbiąc na Anioł Pański. Pestka nie poznała się na moim pomysłu. Zatrzasnęła okno przed nosem przyszczatego małolata, bezwstydnie zaglądnęła wcześniej w jej biust. Lekko uchyliła drzwi. Skradała się jak dzika kotka łypiąca na sikorkę. Jak wyskoczyła, nastroszyła pazury, to wiedziałem już, że źle, źle, źle, wszystko źle. Źle się urodziłem. Nie w tym miejscu. Czasie. Nie w tej osobie. Cała ta banda obślizłych cwaniaczków zaśmiewała się w najlepsze. Ile możesz się tak drzeć, synu ty mój, cały świat cię nie musi słyszeć. A ciebie musi, pomyślałem. Doskonale wiedziała, co tłumilo się pod moją rudą kopułą. Za to

też mi się dostało. Odkazała krzyknąć. Znowu. Pogubić się można było w prawach i obowiązkach.

Zasiadła ponownie w budce z miną dojrzałej kokietki. Gdy przyszczaty małolat trzął się pod wpływem kobiecego aromatu, Pestka malowała sobie usta, poprawiając kolor w odbiciach jego okularów. Wcale mnie już nie zdziwiło, że ojczulek woli młodsze. Mniej wyrachowane. I ciepłe takie. Pestka stygła z minuty na minutę. Gdy przyszczaty odchodził z rumieńcem i trzema kolorowymi żetonami, krzyknąłem do niego, psst, patrz tu, cwaniaczku. Wyciągnąłem z kieszeni garść wejściówek. Żółte, czerwone, niebieskie. Wszystkie były moje. Oprócz Pestki.

Po wygranej bitwie odszedłem dumny jak paw, którego widziałem tylko raz w życiu. Naśladowałem go każdego dnia. Podobał mi się, taki wyspany, nieporuszony, wypełniony gładkim, płynnym życiem. Gdy tak rozmyślałem nad trudną egzystencją człowieka-nie-pawia, z przyczepy Wąsacza zaczęły dobiegać wysokie tony. Podeszedłem bliżej. Od strony bez okien. Wiedziałem, że ten stary wyjadacz specjalnie zwraca na siebie uwagę. Przybliżyłem ucho do metalowej, zimnej płyty i usłyszałem. Trzask, prask, czary mary. Freddi. Ten sam Freddi, za którym Pestka płacze do dziś. Umarł na miłość. A co do tego Wąsaczowi? Słyszałem jego pomrukowania, po części wyrażające głęboki sen, a po części wysoki stan upojenia. Czy alkoholowego, nie jestem pewny, bo sam tak raz miałem po sklepowej oranżadzie. Wypiłem ją jednym haustem przed sklepem, za ostatnie pieniądze od babci i pobiegłem na mszę. Jak wzorowy syn, katolik i obywatel. Niestety oranżada zdradzała moją prawdziwą przynależność. Bulgotało mi w żołądku co najmniej tak, jakby miasteczko odwiedzili kosmici. Kolejny trzask drzwi przywrócił mnie do zimna przyczepy. Tym razem delikatny, mruczący. Totalne odzwierciedlenie metalu. To musiał być jedwab, taki prawdziwy, stuprocentowy, pomyślałem wtedy. I usłyszałem. Na początku pochlipywania, ciche, niepewne, przeradzające się powoli w piszczący, kobiecy sopran. Znający Freddiego. Zza kurtyny jego głosu wyjawiały się odgłosy łączącego przetykania śliny, zasysania

i uderzania ludzkiego ciała o łóżko. W jednej chwili zrozumiałem, co to znaczy umrzeć na miłość.

Jestem, jestem, jestem. W krajobrazie kolorowych światełek, okrzyków przerażonych pań, niespełnionych marzeń marnych pajacynek, jestem. Powtarzałem to przez megafon cicho, niepewnie i drapieźnie razem. Nie musiałem podchodzić do budki. Z daleka widziałem koślawe litery, układające się w „przerwę”. Pestka zawsze ją brała po to, by zjeść ze mną obiad. Często w towarzystwie Maksia. Śmiała się wtedy zwariowanie. Mówiła, że nie potrzebuję psa, skoro mam tygrysa. Z pewnością wystarczy, by kogoś ukarać, tak mówiła. Tylko teraz chciałem nastraszyć właśnie nią. Postanowiłem odejść z godnością. Pokazać jej, co to znaczy nie być. Niech się cmoka z tym przebrzydłym Wąsaczem. Najpierw mój niespełniony ojczulek, teraz koślawy biznesmen. Co te matki, kobiety i kochanki mają w głowach? Gdybym tylko mógł tam zajrzeć, z pewnością zatopiłbym się w ich myślach. A pływać umiem doskonale.

Teraz trzeba było działać, zniknąć, zakopać się w przestrzeni. U Maksia zawsze panowała atmosfera błogiej beznadziei. Tym razem było więcej zamieszania, bo Lisek wymyślił nowe gry i zabawy. Przeskakiwanie przez płonące koła, stawanie na dwóch łapach i inne, takie tam, kocie zagrywki. Maksio nie wyglądał na zachwyconego. Odnaczaliśmy się przez chwilę podobną mimiką obrzydzenia. Patrzyłem prosto w jego stare, załzawione oczy. Nie było w nich nawet odbicia ognia, kropli blasku, chęci próbowania. Podbiegłem do skrzynki z jedzeniem. Wyciągnąłem największy, obslizły kawał mięsa i wrzuciłem mu przez szpary w kracie. Czekałem. Lisek zajęty był utrzymaniem obręczy w ogniu. A Maksio pustym spojrzeniem. Dotknął mięcha łapą. I nic. Nagle chaps! Złapał mięso krystalicznie białymi kłami. Zagryzał je powoli, przetykając swobodnie. Cały pyszczek umorusany miał w czerwieni. Chyba się do mnie uśmiechnął, gdy doszedł do kości. Zachrupotało. Lisek się odwrócił. Wiedziałem, że na mnie już pora. Gdy wybiegłem, usłyszałem męski krzyk, przerwany nagle przez głośny, tygrysi wrzask.

Nie bądź t a k i, myślałem. Wycofany, schowany za lodowatą mgłą niepewności. To nieładnie, myślałem. Pestka ma już swoje lata, stygnie z dnia na dzień, modli się do plakatów w kuchni, a jej mąż w tym samym czasie zostaje pewnie królem festynu w Wieściszchowicach. Rozmyślając o mrocznych aspektach życia rodziców, zatrzymałem się przy strzelnicy Pani Oz. Lubiła mnie. Byłem chodzącym pretekstem do przytulenia. Takie masz te policzki różowe, złapać muszę, udusić, kochaniutki, gdybyś mój był. Do końca nie rozumiałem, czy by mnie chciała udusić, jakbym nie miał policzków? Schowała do mojej kieszeni kilka zmiętolonych, papierkowych kuponów. Ale to była chwila! Wystrzeliłem jak z łuku Robin Hooda, podbiegłem do męża Pani Oz i poprosiłem o największą strzelbę. To było jedyne, niedostępne miejsce, do którego potrzeba było osobnych kuponów. Dysponowała nimi tylko Pani Oz. Jej mąż, wyglądający jak wcielenie dużego misia do wygrania, odsłonił pierwszą tablicę. Gdy już miałem w garści kolbę, trzymałem ją coraz mocniej, oko mrużyłem sprawnie i chłodno, zbiegła się cała ferajna ze sportowej.

Najwyższy i najgłupszy zarazem, Duży Bill, spoglądał maślanymi oczami na Panią Oz. Sprzedawała kupony powyżej 16 roku życia, a prawdopodobnie jedynym wyjątkiem byłem ja. Strzelba samoczynnie zaczęła się przesuwać. Lufa wylądowała na głowie Billa. Trzymałem ją mocno, gorącą od uścisku i spragnioną działania. Wtedy się odwrócił. Wyobraziłem sobie, jak jego obrzydliwie niemądry łeb roztrzaskuje się na kawałki. Taki był obrzydliwie niemądry. Poczul zagrożenie. Nawet nie drgnął. Uśmiechnął się tylko koślawo, zarysowując linię obrony. Zrobiłem krok do przodu. Asta la vista, pomyślałem. Wycelowałem broń i pif, pał. Nie trafiłem nawet w jedynekę. Mąż Pani Oz pomachał dłonią na znak solidarności, ale Bill nie mógł przepuścić takiej okazji. Po tym, jak złożyłem dłoń, usłyszałem ten dyszący, złośliwy śmiech, wypuszczany bezwolnie z jego obślizłego gardła. Ale z ciebie kołboj. I tyle. Ale z ciebie kołboj, poważnie?

Podejrzliwie odszedłem kilka kroków dalej, nie reagując na średniej jakości wyzwicko. Gdy tylko skręciłem za strzelnicę, podbiegli wszyscy.

Otoczyli mnie złowieszczo, jak banda dzieciaków, pierwszy raz widząca klauna. Duży Bill poklepał mnie pojednawczo po ramieniu. Żebyście mieli pewność, nigdy wcześniej tego nie zrobił. Dlatego wyczułem pismo nosem. Dziesięć kuponów, a spokój masz, kołboj, pisany do końca. Do końca życia, pomyślałem? To w ogóle nie jest dla mnie interes, Bill, nie wiesz ile życia nam policzono, odparłem. Jadźka, królowa bójek i pączków, a zarazem pierwsza kobieta Billa, pogroziła mi palcem. Absolut to był mój teren. Palec nie zrobił na mnie wrażenia. W szkole to co innego, w szkole każdy palec był złowieszczy. Karlos, niski, nic nieznaczący chłopaczek po prawej, wyciągnął ze złością gumę turbo. Trzęsącymi się dłońmi odpakował, wyciągnął naklejkę, a gumę wręczył Billowi. Kiedyś zostawiłem mu na stole pięć gum turbo na uspokojenie. Ominęło mnie niezłe lanie. Bill wsadził kawałek białego, gumowego materiału do buzi i rozpoczął głośny proces mlaskania. Podszedł bliżej i uderzył moje czoło swoim. Poczulem przypływ nadzwyczajnych mocy. Otoczył swoją niekościstą dłonią moje gardło. Usłyszałem tylko krzyk Jadźki królowej i zobaczyłem mnogi kurz unoszący się pod ich stopami. Uciekali. Jak oni uciekali. A przed swoim nosem zobaczyłem Wąsacza, trzymającego na smyczy ogromnego, czarnego rottweilera. Zmykaj mi stąd, mały, bulgotał pod nosem. Chyba ty i twoi kumple, prychnąłem pod nosem, odchodząc.

Na paluszkach przetransportowałem się do indyjskiego namiotu, niedbale utkanego z pozostałości po duchowych przewodnikach Hary Kriszny. Kilka miesięcy temu wyjadałem z turbanów dziewczyn resztki solonych chipsów. Duszno, szaro i niemrawo, tak w skrócie można opisać znikającą krainę Gordona. Magika Gordona. Najczęściej wykonywaną sztuką (bo i jedyną, która mu wychodziła) była znikająca panna młoda. Nie należał do typów pewnych siebie, improwizujących mężczyzn, którzy za najważniejszą cechę charakteru uznawali niestałość uczuć. Nad drewnianym pudłem wisiała nawet kartka z rozrysowanym planem akcji. Strzałki przecinały się ze sobą, kropki wprowadzały zamęt, a wykrzykniki chwilę zadumy nad tym, po co w ogóle to wszystko.

Gordon lubił ten sport. Obserwował ludzkie twarze z namaszczeniem, jakby obawiając się, że za chwilę, już za chwileczkę, mogą się rozpaść. Pannę młodą najczęściej odgrywała Pani Oz, ku niezadowoleniu jej męża. Dobra zmiana nastąpiła po tym, jak kolejną zatrudnioną przez Gordona aktoreczkę Wąsacz wykorzystał do własnych celów. Nagle obok magika zobaczyłem umorusane, źle zawiązane sznurówki Billa. Hyc do pudła. Prawdopodobnie klatka Maksia była bardziej wygodna, ale zgodnie z rozrysowanym planem pomieszczenia po lewej stronie znajdowały się dziury, dzięki którym wpadało trochę światła. Nie miałem co narzekać. Oficjalnie nastąpił rozłam z matką Pestką rodzicielką, nakarmiłem lwa, a potem splunąłem pewnością prosto na Billa. Ten bardzo chciał mi oddać. Po sposobie chodzenia, jaki mogłem zauważyć przez magiczne dziurki, przeżył się jak nigdy jeszcze, pokonując w tej kategorii nawet miasteczkowego pawia. Sznurówki zniknęły mi z oczu, a Gordon rozprawiał z Panią Oz o wieczornym pokazie. Mieli odgrywać cyrkową wersję Bonnie i Clyde. Wiesz, że białe wrzucają już do śmieci, wyszeptła na uszko magikowi Pani Oz. Białe, nasze białe łabądki, zaśmiał się magik. Słyszeli skrzywienie, co, dopytał. Raczej widzieli. Wczoraj włos spadł z głowy dziewczynce, jeden się obraził i obniżył, sprecyzowała Pani Oz. Więcej słów nie słyszałem, tak sprytnie szeptała. Wtedy wdarło się to poczucie do drewnianej skrzyni. Poczucie, że mogę mieć ich wszystkich w garści. Białe łabądki mnie olśniły. Reszta była kwestią godzin.

E, szeryfie, zagadnąłem. W sztucznych uśmiechach byłem całkiem niezły. Godzinami podpatrywałem klauna Eugeniusza, który nienawidził zwłaszcza „głaskania”. Momentu dotykania, ściskania, miętolenia, wyciskania przez dzieci. Zazwyczaj uczepiały się sztucznego nosa. Wtedy klaun Eugeniusz mrużył oczy po kociemu, napinał mięśnie twarzy, wydłużał policzki i ukazywała się jego twarz: namaszczona, spokojna i zadowolona. A nienawidzę tej roboty, jak sarenki tygrysów, mówił.

Z takim wyrazem powtórzyłem do Billa: e, szeryfie. Stał przy automacie, próbując rozwikłać łamigłówkę ludzkości. Wkładał do otworu na

monety wszystko, co znalazł w kieszeniach. A jestem pewny, że pieniądze to ostatnia rzecz, jakiej można było się po nim spodziewać. Zastukałem mu do głowy przypominającej piłkę z pumeksu. Odwrócił się gotowy do walki. Odczułem wtedy ten rodzaj wściekłego żalu, który mógłby mi pomóc w pociągnięciu za spust, gdybym tylko go miał, gdybyśmy tylko żyli w Ameryce. To poczucie narastało przez ostatnie miesiące. Pozbawione możliwości spełnienia, tłące się chaotycznie, energiczne jedynie podczas tych sekund.

Przechyliłem głowę i patrzyłem na niego z innej perspektywy. Należał do kategorii tych synów, którzy nigdy nie zawodzą, a osiągną wiele tylko dlatego, że tak zostało zapisane w gwiazdach. Duży Bill zapomniał jednak, że w naszym miasteczku gwiazd coraz mniej, właściwie wszystkie przykryły już smogowe chmury. Mimo to wyraźnie spodobał mu się szeryf w nowym wydaniu. Nie odpowiedział. Czekał. I ja także nie pisałem słowa. Za to wyrzuciłem z kieszeni wszystkie żetony, dziesięć kolorowych, okrągłych monet. Niebieskie, czerwone, zielone i żółte. Lepiej niż w kasynie, pomyślałem, gdy Bill rzucił się na nie jak myśliwy na przypadkiem postrzelone zwierzę. Po raz pierwszy to on klęczał, a ja swobodnie odpuszczałem mu winy. Popatrzył z niepewnością, a wtedy wskazałem mu mekkę Absolutu Szczęścia, karuzelę z białymi łabędziami. Zebrał wszystko razem z resztkami piasku. Na koniec wycedził, że to za sznurówki. O losie, jesteś czasem smaczniejszy od landrynkowych cukierków. I vibovitu w saszetkach, pomyślałem.

O zemście usłyszałem tylko raz. Pestka kłóciła się z ojcem. Ich główną kartą przetargową stałem się ja, sześciolatek wtedy Pawcio. Po kolejnym nadzwyczajnym zwołanym zgromadzeniu drobnych pijaczków, na czele którego z dumą przez lata stał mój ojciec, Pestka chciała końca. Rzucił mu nazwiskiem w twarz, zabrać wszystko, czego nienawidziła, a uwielbiał on. Na czele z rozpadającą się lodówką. I mną. Wypowiedziała mało kojące słowa, w których przechwalała się swoją zemstą. Pawcia zabiorę daleko, zobaczysz możesz w piekle siebie tylko. Zapomnieli, że stałem tuż za

rogiem, mocno trzymając duży, kartonowy plakat. Trofeum ojca. Chciał udowodnić kumplom, że złamie go jednym uderzeniem pięści. Do trzymania wybrał mnie. Tylko zamachnął się za mocno. W efekcie najbardziej odczuł to mój brzuch. Blondynka z apteczną pastą na hemoroidy pozostała niewzruszona. Poczulem wtedy, że zemsta to dobra rzecz. Tylko nie nagła, szaleńcza, w stylu pestkowym. Najlepsza musi być ta spodziewana, unosząca się za winowajcą jak chłodny powiew wiatru na plecach, krystalizująca się powoli. Pestka szybko zmieniła zdanie. Przez resztę życia mściła się po cichu tak, że ojciec nawet nie miał o tym pojęcia. No i co te kobiety, matki, żony i kochanki mają w głowach? Żądają stanowczości, a same nawet nie wiedzą, co to za jedna.

Gdzie jesteś jesteś jesteś. Słyszałem niecierpliwie nawoływania od zachodu słońca. To był przełomowy moment dla Absolutu Szczęścia. Albo się ludziom nudzi w tych pustych ścianach i głowach, albo jesteśmy w dupie, mawiał Wąsacz. Zachód słońca definiował jego całodzienny zysk. Po zmroku przychodziło albo najmniej, albo najwięcej rodziniek. Przechadzałem się beznamiętnie wokół cyrku, zajadając gumiąstą, pozbawioną smaku watę cukrową. Od kilku godzin Pestka nie słyszała mojego „jestem”, więc zaczęła swoje. Raz natknąłem się na Panią Oz, która zbulwersowana aż tak, że falował jej wypchany biust, kazała mi, łobuzowi, wracać do matki. A jak matka nie chce wracać do dziecka, to nie jest łobuzem, zagiąłem pytaniem. Biust Pani Oz nagle przestał oddychać własnym życiem. Chodzenie z uniesioną, dumną głową po Absolucie było podejrzane, jeśli ktoś jeszcze słyszał wrzask Pestki. To nie tak, że cieszyłem się jej zgubą. Rozkoszowałem się jedynie zainteresowaniem, którego nigdy nie otrzymałem w prezencie. Przecież to nic złego prowokować sytuacje takie, jakimi chcielibyśmy je widzieć. To żadna zdrada czasu, przecież z niego nie rezygnuję. Pomagam mu się spełnić. Żeby czuł się zadowolony, lubiany i szczęśliwy. W bucie znalazłem ostatnią zgubę: krwisty, czerwony zeton, gorący od uwięzienia w tekstylnym trampku. Jego zrealizowanie musiało nastąpić na wysokości, by wszyscy inni przypominali mrówki.

Poproszę na najwyższe piętro nieba, zagadnąłem łysiejącego pana przy Diabelskim Młynie. Był tu najkrócej ze wszystkich, przyjęty na czarno i na szybko, bez świadków. Zamiast rozmawiać, mruczał przedziwne dźwięki, nadawał się więc tylko do Młyna. Czerwony fotel wydawał się najmniej komfortowy, więc wybrałem, żeby nie było mi przykro się z nim żegnać. Kołysałem się w rytm huśtania, wybierając stronę z widokiem na karuzelę z łabędziami. Łysiejący nowy nie chciał puścić Młyna tylko ze mną. Czekaliśmy tak w przebrzydłej ciszy. Nagle zjawiała się wesoła rodzinka. Stereotypowa, miasteczkowa, sięgająca w Absolutie po odłamy adrenalinki. To musiał być dobry wieczór dla Wąsacza. Usiedli trzy fotele ode mnie. Ojciec, mały brzdąc i zdenerwowana matka. Lepiej mi być samodzielnym, wyrosniętym brzdącem, pomyślałem. Ruszyliśmy. Matka aż zapisała ze strachu, co ojciec przyjął potężną dawką śmiechu. Ona z kolei miała ochotę odwinąć mu trzaskacza, ale uspokoiła się pod wpływem wiatru. Miasteczko zmniejszało się coraz bardziej i bardziej, a we mnie pojawiło się wesołe drapanie. Cyrkowy namiot przypominał opakowanie po cukierkach, a czerwona budka Pestki rzucony beładnie klocek lego. Mrużyłem oczy i przez blask światełek próbowałem odgadnąć zarys postaci na karuzeli z łabędziami. Z pewnością nie był to Bill. Łabędzie wirowały jak w dzikim, oszalałym tańcu, a mnie do głowy nagle uderzyła cisza. Cisza. Bez myśli, zakazów i nakazów. Cisza. Z kilkoma zaledwie gwiazdami wyrysowanymi na niebie. Cisza, która potrafi bardzo szybko nużyć. Tak jak kołysanie fotela małego brzdąca trzy miejsca dalej.

Policzyłem do dziesięciu i już wiedziałem, że będzie płacz. Ryk właściwie. Chyba jeszcze większy niż przy jego narodzinach. Ale maruda, pomyślałem, wystawiając za fotel nogi. W kieszeni miałem schowanego czerwonego Mocnego, którego podkradłem Pestce. Na czarną godzinę, jak sama mawiała. Do tej pory robiłem to tylko raz, gdy chciałem się przypodobać Billowi. Tak bardzo mi nie zasmakowało to skręcane gówna, że rzuciłem mu petem prosto w twarz. Prawdopodobnie od tego powitania zaczęliśmy się nie lubić. To znaczy on mnie, bo jego głupota wydawała mi się nawet rozczulająca. W Diabelskim Młynie odpalić czerwonego

Mocnego, to prawie jak fajerwerk na zakończenie roku. Spróbowałem. Jedna zapałka, druga, trzecia. Za cholere nie mogłem poradzić sobie z wiatrem, który zachowywał się tak, jakby zesłała go sama Pestka. Wyrzuciłem ze złością za powietrzną burzę, a gdy się przechylałem, trampek spadł. Usłyszałem głośny dźwięk odbicia się od metalu. Spojrzałem w dół. Trampek leżał między mamą a tatą, a zadowolony brzdąc trzymał sznurówki. Przynajmniej nie ryczy, odburknąłem w myślach, uśmiechając się klaunowo do rodziniki. Oddamy na ziemi, bo w niebie skrzydeł nie mamy, poetycko zagadnęli. Po co mi ten but, pomyślałem, skoro po dzisiejszym dniu Pestka i tak mnie ukatrupi.

Z ciszy na wysokościach wybudził mnie ziemski, wesoły pisk. W jednym z łabędzi zauważyłem mięsistą posturę Billa. O to chodziło. Dobrze, dobrze, dobrze. Chciałem tak. Dobrze. Albo nie. Tak. Nie-tak. Cholera, one naprawdę się nie zatrzymują. Wyrzałem, ale na dole nie było zawiadowcy młyna. Niecierpliwie zacząłem huścić fotelem i krzyczeć, krzyczeć wniebogłoso, by tylko już mnie wypuścili. Wypuście mnie, puście, ja wcale nie umiem latać, krzyczałem, a rodzinika starała się mnie wychowawczo uspokajać. Pierdolicie, nic nie rozumiecie, tak im mówiłem. I wtedy usłyszałem. Dwie gałęzie, na których umieszczone były łabędzie, spadły prosto na ziemię. Z najwyższej możliwej wysokości. Matka pisnęła przeraźliwie, złorzecząc, że zaraz skończymy jak oni. Marzyło mi się. Skończyć, jak oni.

Łysiejący pan w końcu przypomniał sobie o obowiązkach, ściągając nas na dół. Podziwiałem jego determinację, bo pod wpływem wściekłych wrzasków, plucia mu w twarz i grożenia przez kochającą się rodzinę, nie odezwał się ani razu. Puściłem mu oczko zamiast pięści. W okolicach łabędzi stał dziki tłum, rozrzedzany już przez ochroniarzy. Karetki jechały na sygnale, a wysoki ton piszczał mi w uszach. Podbiegłem do budki Pestki z oddali krzyżąc, że jestem, jestem, jestem. Zamknięta na wszystkie spusty. Ludzie pogrążeni w odpowiedzialnej rozpaczy. Dopiero wtedy zauważyłem, że ciągle nie mam buta.

Pozbawiłem się niesamotności na własne życzenie. Mogłem być z ojcem w Wieńszchowicach czy innych takich. A nie w burdelu, gdzie ludzie przychodzą wypożyczyć szczęście, a nie oddać je pod zastaw. Szukałem znajomych twarzy, które mogłyby mnie przytulić, tak wziąć, ścisnąć mocno, udusić nawet. Pani Oz pomagała zdeorientowanemu Wąsaczowi tłumaczyć się przed policją, Jozin opiekował się dziećmi owiniętymi kocami, a po Pestce została wielka nieobecność. Zostawiłem Absolut w oparach tragedii, obiecując, że moja sznurówka już nigdy więcej w nim nie postanie.

Lekarz nakazał mi spisać wszystko to, co się wydarzyło, słowo po słowie, przecinek po przecinku. Panie lekarzu, naprawdę nie pamiętam, jak trafiłem do mieszkania. Wiem tylko, że nie było w nim Pestki. Zamiast tego smutny, odnaleziony po dniach ojciec, zjadający się ciastem bezowym z Wieńszchowic. Łobuzie siadaj, zjemy razem jak kiedyś, usłyszałem po drugiej w nocy. Nie zauważył, że zgubiłem but, co było mi wtedy nawet na rękę. I na nogę też. Beza okazała się lepszą poduszką, bo ponoć zasnąłem w niej jak niemowlak.

Rano zbudził mnie łoskot kuchenny, przypominający przygotowania do wigilii. W ruch szły szklanki z kredensu, a to się zdarza tylko raz w roku. Usłyszałem ten przyjemny, plastelinowy dźwięk, który gotów jest przyznać rację każdemu, kto tylko lekko uniesie głos. Wpadłem do kuchni, umorusany i zmarznięty. Przespałem całe życie, pomyślałem. Na stole stało więcej niż dwanaście potraw. Nie mieściły się nawet w zasięgu mojego wzroku. Ja cię kręcę, częściej muszę gubić but, powiedziałem do ojca, a ten tylko niemrawo się uśmiechnął. Czytał gazetę, naprzemiennie łapiąc kawałki wiadomości z telewizji. Z kuchni unosił się zapach kakao, nie tego gorzkiego, ciastowego, ale kakao z cukrem. Moim oczom ukazała się Pestka matka. Trochę zagubiona w świątecznym fartuchu, podbiegła i mnie utuliła. Szukałam cię, szpital nie przyjął, jestem, a ciebie nie było, nie rób mi tak więcej, wyrzuciła jednym tchem. Ty mi też nie rób, powiedziałem. Poprawiła mi włosy, jak robiła to tylko w urodziny. Usiadłem

przy wigilijno-przepraszającym stole. Przybiegła. Nałożyła jedzenie. Jedliśmy w ciszy. Ojciec pogłośnił telewizor. Pestka zabrała od niego gazetę, a ja ustawiałem z herbatników domek. Uszczelniłem jego ściany gęstym kakao tak, że biały obrus pokrył się drobnymi, brązowymi plamami. Teraz tak już będzie, rzuciłem na stół, niczym opłatkiem. Ykhy, usłyszałem. A co z Billem, mammo, ciągnąłem. Tylko złamanie, dzięki Bogu niech będą, odpowiedziała, nawet nie patrząc. Widziałem wczoraj słonia, mammo, wiesz, próbowałem. Cisza. Odszedłem od stołu.

W przedpokoju wiosenny Mikołaj zostawił trampki. Tym razem niebieskie. Ubrałem, pocałowałem i matkę, i ojca, jak ksiądz nakazał. Wyszedłem. Wykorzystać ostatnie zapałki. Plac wyglądał jak pobożowisko po wybiegu słońi. Nikt się nie odzywał, nikt nie interesował. Pod bramą leżały odłamki plastikowych łabędzi. Uklęknąłem przed nimi, zbierając suche kawałki trawy. Tak już teraz będzie zawsze, mammo. Odpalałem jedną zapałkę za drugą. Dlaczego nie latam. Trawa zajęła się ogniem. Dmuchałem delikatnie, żeby jej nie urazić. Przecież mógłbym.



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Paweł Ciach

godło „Karola”

III nagroda w dziedzinie prozy

Paweł Ciach

Dzieciństwo spędził w Rykach, małym miasteczku na pograniczu Mazowsza. Miłość do teatru zaprowadziła go – przez scenę amatorską w liceum – do warszawskiej PWST na Wydział Wiedzy o Teatrze. Przez wiele lat pracował w Paryżu, a później w Berlinie, Wiedniu, Strasburgu i Brukseli. Pracował w „Sztandarze Młodych”, a następnie w „Życiu Warszawy”, dla którego pisał korespondencje z Paryża. Jako ghostwriter pisał felietony do tygodnika „Wprost”. Niedawno wrócił do pisania i tłumaczenia literatury pięknej.

Mo

Mo miała małe usta w ciup, zawsze pociągnięte czerwoną pomadką. Małe brązowe oczy, głębokie i ruchliwe. Przypominała jakieś sympatyczne zwierzątko gdzieś z południa, z dalekich Bałkanów, może z Siedmiogrodu, potulne i przyjazne, ale to wrażenie znikało, gdy zaczynała mówić. Chrapliwy głos i jego niski tembr kazał trzymać się na dystans, nieomal na baczność, napinając wszystkie mięśnie wyczekiwać dogodnego momentu do skoku, bez nadziei, że taki moment kiedykolwiek nastąpi, uważać, nie pozwalać sobie na zbyt wiele, a z pewnością nie na tyle, na ile pozwalały inne. Raz wprawdzie pozwoliła mi pocałować się w szyję, ale ta bezwiedna i ledwie okazana pobłażliwość wzięła się być może z późnej pory, może z sześciu butelek wina i pięciu butelek sektu, o którym nie pozwalała mówić inaczej jak cremant, nie znosząc sprzeciwu. Ani „szampan” ani „musujące”, po prostu cremant. Była przywiązana do słów, co kazało mi zwrócić na nią uwagę.

Goście już wychodzili, Mo patrzyła na ostatnich trzech facetów z niepokojem, czy któremuś z nich przyjdzie do głowy zostać u niej na noc. Jeden z nich podobno pisał wiersze, inny był artystą, o trzecim nikt nic nie wiedział. Na tyle nic nie było o nim wiadomo, iż obawiano się, że nie uda się tego ustalić nawet po jego śmierci. „Kim był ten człowiek?” albo „Kim jest ten człowiek?” Tak zadane pytania pozostaną bez odpowiedzi, przynajmniej w tej chwili. Ponieważ wcześniej szamotałem się w prowizorycznej szatni, a właściwie jednym z trzech dużych pokoi mieszkania, z inną uczestniczką artystycznego wieczoru i wiedziałem, że mogło to

zostać zauważone, moje pożegnanie było nieśmiałe, pełne pytań i obaw o niespodziewany cios. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Najpierw pocałowałem ją w policzki, oficjalnie.

Powiedziała:

– Drei Mal, bitte, po berlińsku.

Zaśmiała się swoim pięknym perlistym krótkim śmiechem.

– Wiem, jak jest po parysku. Cztery.

Nie czułem, że chce zrezygnować z dalszego ciągu. Schyliłem się i pocałowałem ją w szyję. Poczulem delikatny smak skóry, której nikt nie dotyka, poza jej właścicielką podczas codziennych toalet nudnych i żmudnych, toalet bez jakiegokolwiek perspektywy na zauważenie rezultatu tych wysiłków. Miała odkryte ramiona, wąskie i drobne, cała zresztą była filigranowa. Lubiła chodzić w spodniach podkreślając, że kobieta w jej wieku może mieć zgrabną pupę i uda. Były rzeczywiście zgrabne. Musiała drakońsko o siebie dbać, jak na kobietę gdzieś pomiędzy jednym kiepskim jubileuszem, a drugim jeszcze gorszym, wyglądała mimo wszystko pięknie, a już na pewno była cholernie pociągająca.

Spotkanie początkowo zapowiadało się na nudny niemiecki wieczorek i potworną stratę czasu. Mo, otaczająca się artystami i tymi, którzy mówili lub przynajmniej rozumieli niemiecki, zaprosiła nas z okazji zakupu nowego obrazu. Miałem wrażenie, że zachwyca się nim jedynie nasz kolega malarz. Miał w zwyczaju wypowiadać swoje sądy w bardzo charakterystyczny sposób, niezwykle zdawkowy, jakby brakowało mu słów:

– Tak, tak, bardzo fajne.

Albo:

– Bardzo ciekawe.

Albo:

– Mnie się to właściwie podoba.

Albo:

– To bardzo ciekawy artysta, znam go.

Ale robił to w tak czuły i dla wszystkich zrozumiały, a przy tym nie-narzucający się gejowski sposób, że trudno było polemizować, sprzeczać się, protestować. Wzbudzał poza tym moje zainteresowanie, od kiedy zobaczyłem w jego pracowni wielkie nabrzmiałe penisy na jeszcze większych powierzchniach przygotowywanych kolaży. Od tamtego momentu miałem nie tylko ochotę ich dotknąć w realu i powracały do mnie tym szablowlutym, pełnym i twardym kształtem rozsadzającym ciała jamiste, przypominając się co jakiś czas, ale uznałem też, że ktoś, kto wykorzystuje w swoich kolażach tak piękny motyw, sam musi być interesujący. Lubilem zatem i jego, i jego sądy, w końcu był artystą, na dodatek artystą umiejętnie ukrywającym swoje nabrzmiałe ego!

Zakupiony przez Mo obraz, jak powiedziała mi później koleżanka, należał do bardzo młodego artysty.

– To dziecko. Wygląda zupełnie jak dziecko.

Mimo jednak swojego niegodziwego, a wręcz nieprzyzwoitego wieku notowany był ponoć w jakichś światowych rankingach najlepiej rokujących młodych malarzy. O tym obrazie można było powiedzieć jedno – autor zakupił po dobrej cenie kilkanaście dużych tubek z najwyraźniej niechodliwą brązową farbą i pokrył nią całe, sporej wielkości płótno. Brąz był na nim kolorem nie tyle dominującym, co jedynym. Żeby jednak miało ono charakter ciekawego dokonania artystycznego, namalował na nim drobne, niejednokrotnie mikroskopijne, półprzezroczyste owady z przewagą nocnych motyli. Były one niewątpliwej precyzji, urody, wdzięku, a nawet wirtuozerii, ale jakoś nie przemawiały. Widziałem tam i południową pyronię cecylię, i samiczkę satyrusa amasinusa, lemonię dumi oraz lemonię taraxaci, rodzinę cossidae z jej tajemniczą acoessus

terebra i piękną eucartą. Całość przedstawiała wątpliwej urody katalog bałaganiarskiego badacza nocnych motyli na brązowym tle.

Bohdan był oburzony .

– Nie, no co ty.

– Mówisz? No może rzeczywiście...

Mo, odrobinę zmartwiona, powtarzała:

– Tu nie ma dobrego oświetlenia.

– Musisz postawić go na tym rokokowym stoliczku – mówił z przekąsem Bohdan.

Mieszkanie pełne było sztuki – rysunki, gwasze, grafiki, wiele z nich znacznie wyższej jakości niż ćmy na brązie. Kilka miało znak „Kath”. Moją uwagę zwróciły pastele, kobiece akty. Wisiały nad kanapą, a póki na niej nie siedziałem, nie miałem okazji ich dostrzec. Mo odpowiedziała na moje zainteresowanie:

– To rysunki mojej koleżanki. Miałam na nich czerwoną bluzkę. Ten kolor zupełnie znikł. Kiedy powiedziałam jej to przez telefon, stwierdziła, że to niemożliwe.

Pastele przedstawiały Mo w różnych pozach. Dobitnie i wyraźnie narysowany był srom Mo. Powiedziałbym nawet, że tylko srom Mo było tam widać. Rzeczywiście było też miejsce na jakieś nakrycie wierzchnie, ale akty te były najwyraźniej aktami z czy bez czerwonej bluzeczki, która opadła na tyle skutecznie, że odsłaniała całe ciało. Oprócz ponętnego kroczka Mo można było dzięki temu dostrzec jej dwie piersi. Koleżanka raczej się nie myliła. To niemożliwe, że ubranie Mo tak po prostu, tak zwyczajnie znikło z pasteli w wyniku jakiejś reakcji na światło dzienne. Ona go po prostu nie nałożyła, pozując Kath. A teraz, przy gościach wymyśliła to naiwne tłumaczenie.

Akty uświadomiły mi, jak Mo może wyglądać bez nakryć wierzchnich. Oczywiście wizja artystki miała swoje mankamenty, koleżanka najwyraźniej chciała mi utrudnić właściwą ocenę wdzięków Mo, ale byłem na tyle inteligentny, by ubiec przebiegłość Kath, rozpoznać jej rebus i uzupełnić zgadywanke produktami własnej wyobraźni. Do mego serca wdarł się jednak niepokój. Czy Mo nie jest przypadkiem lesbijką? Wprawdzie nie takie lody udawało mi się przełamywać, ale zadanie mogło okazać się trudniejsze niż myślałem.

Mo miała na sobie biały sweterek i taki sam biustonosz na małych piersiach. Małe piersi to zaszczyt dla kobiety. Tak uważam. Chciałem jej to jakoś powiedzieć, ale moja znajomość niemieckiego jest zbyt słaba. Bałem się śmieszności. Nie wpatrywałem się też w nie, co mogłoby zostać uznane za zbyt natarczywą i nachalną chęć zwrócenia na siebie uwagi. Pokazała nam jeden ze swetrów, które sama wydziergała, pistacjowy. Marzyłem, żeby przebrała się na naszych oczach.

W sypialni stało duże łóże przykryte białą narzutą. Obok na małym zydelfku porozkładane książki po niemiecku i angielsku. Jakieś kolorowe tabletki. Podczas jednego z obejść mieszkania z Bogdanem, zauważyliśmy przedziwną arabską twórczość fotograficzną. Rosły mężczyzna otoczony psami ras różnych, burymi, brudnymi, chudymi jak wszystkie psy w północnej Afryce i na Półwyspie Arabskim, patrzył na nas bez żadnych ogródek. Upozowany, uładzony, ubrany w wielokolorowe pasiaste długie regionalne szaty, raz przy fajce wodnej, raz przy koniu. Pustynia, piasek, biegnące araby, surowa twarz mężczyzny. Miało to taką dawkę kiczu, że nie można było się nie zachwycić. Zjawiła się Mo. Miałem wrażenie, że jest zawstydzona. Zaczęła przerzucać duże kolorowe pocztówki. Właśnie, czy to były pocztówki – gotowe produkty wschodniego podrywacza, arabskiego ogiera z dorodnym przyrodzeniem, czekającego na jednoznaczne odwiedziny, które kończą się wręczeniem pamiątki, pozowanej fotki, kartki pocztowej z pustyni, fotosa dla wielbicielek z Europy Zachodniej, samotnych, dojrzałych, pragnących seksu i dominującego mężczyzny

z szablą zwisającą u boku. Mo zrozumiała, że i my zrozumieliśmy. Nie okazała tego jednak, kwitując zdarzenie:

– To mój przyjaciel. Lawrence z Arabii.

(Nie, tak chyba jednak nie powiedziała).

I zwróciła się do Bohdana, wciskając mu dosłownie kolorowe kartoniki:

– Zrobisz z tego jakiś kolaż? Zrób jakiś kolaż z tego. Zrób z tego dla mnie jakiś kolaż!

Bohdan bronił się bezskutecznie. W jednej ręce miał kieliszek. Całym ciałem cofnął się, jakby fotki trafiły go ostrzem w brzuch. Rozglądał się bezradnie patrząc to na mnie, to na Mo.

– Tak, tak, no tak.

Śmiał się zażenowany.

– Tak, no zrobię, oczywiście, że zrobię.

Nie wiem, czy je wziął. Nie wydaje mi się. Choć może wstydział się, że fotki mu się podobają. Właśnie, o tym nie pomyślałem, nie chciałem, żebyśmy to odgadli!

Zeszliśmy z chłopakami na dół kamienicy. Mam wrażenie, że wsiadali do taksówki, ale to przecież niemożliwe. Do pracowni Bohdana były dwa kroki. Michał poturlał się za nim. Michał ma bardzo słabą głowę, upija się łatwo i szybko, zaczynał plątać słowa już pod koniec wieczoru, mówił niewyraźnie i niezrozumiale, co się zresztą dziwić. Ciekawe, czy wychodziły z tego lesze czy gorsze wiersze...

Kiedyś wracaliśmy we trójkę. Michał dopytywał się, co robię i ile zarabiam.

– Ile zarabiam? Pięć tysięcy.

Skłamałem, nie chciałem, żeby mu było przykro.

– Co? Pięć tysięcy? Jak to? – zaśmiał się niewyraźnie – ja zarabiam dziewięćset złotych!

No tak, ja zawsze wiem co, jak i kiedy powiedzieć. Nie ma co. Krok od utraty świeżo zadziergniętej znajomości.

– Ale wiesz, ja mam trójkę dzieci...

Bohdan starał się załagodzić.

– No tak, na trójkę dzieci, to rzeczywiście mało.

Ale i jemu zrobiło się jakoś głupio. Co za pomysł, żeby pytać przyjaciół, ile kto zarabia. Taki nietakt właściwy może być tylko poetom. Na dodatek tym zarabiającym dziewięćset złotych.

Wśród gości była też Gruzinka, nie tyle filigranowa, co wręcz kompaktowa. Rozmiar XS. Zażenowana nauczycielka, bufonowaty Austriak, co jest przynależne większości jego rodaków, Ukrainka, nieśmiała i małomówna, pewnie przez cały wieczór myślała o Wołyniu.

Koledzy udali się w trudną i pełną niebezpieczeństw drogę w okolicach godzin bliskich porannym, wydłużając sobie trasę od jednego krańca ulicy do drugiego. Czekala ich niepewna przyszłość, nieznanne przygody miłosne, fałszywe ścieżki et caetera.

Zawróciłem. Wreszcie pozbyłem się wszystkich. Bałem się tylko śpiącej, znużonej i znudzonej miny Mo. Ale chciałem sprawdzić jej niemiecką czujność i jej niemieckie podejście do wolności seksualnej, sprawdzić, czy jest dzieckiem pokolenia kwiatów, czy jej niemiecka krew jest wymieszana z płynącą być może w jej żyłach krwią rumuńską, znaną powszechnie ze swobodnego podejścia do uciech seksualnych i z rozwiązłości. Naciskając przycisk domofonu, przypomniałem sobie Rumunkę Lilianę, z dużym, pięknie powieszonym biustem, dojrzałymi owocami, które brało się w dłonie i było ich za mało, by tę rozkosz ogarnąć, by ją mieć, zerwać, zabrać ze sobą i zachować przy sobie.

– Ja, bitte?

– Mo, entschuldige, ich habe meine Mütze vergessen.

Nie miałem pomysłu na nic innego.

– Ok., komm, ich muss ins Bett, es ist spät. Die Tür ist geöffnet, ich nehme eine Dusche.

Nie mogło być lepiej. Wszedłem na trzecie piętro. Drzwi były otwarte. Mo rzeczywiście w łazience. Słyszałem wodę nalewaną do wanny.

– Also bis dann, mach bitte die Tür zu.

– Danke Mo, bis bald!

Klapnąłem drzwiami i zostałem w środku.

Drzwi łazienki otworzyły się, stała w nich Mo, była naga od pasa w dół. Miała wygolone łono, owłosienie zostawione tylko wzdłuż warg, zadbane kobiece krocze, które zawsze jest gotowe, które zawsze czeka, które nie zna dnia, nie zna godziny, piękne tajemnicze miejsce ukrywające niewypowiedziane tajemnice siedmiogrodzkich Niemców, trudnych czasów komunizmu, Sturm und Drang, Drang nach Osten, uwielbienie Groscha i Schiele, Jeanne Mammen i Pauli Modersohn-Becker. Zupełnie takie samo łono, jakie musi mieć Herta Müller, skomplikowane wewnętrznie niemieckie łono Herty Müller. Nie mogło przytrafić mi się nic bardziej literackiego.

Stałem w korytarzu.

– Was machst du hier?

Nie wyglądała na zadowoloną.

Podszedłem bliżej. Powoli nachyliłem się do niej. Pocałowałem ją w usta. Żadnego oporu. Objęła mnie ramionami. Zrzuciła kurtkę, ściągnęła przez głowę sweter i podkoszulek. Zacząłem ją pieścić. Dosłownie

przyssała się do mnie. Te małe usta w ciup okazały się bardziej potrzebujące niż myślałem i bardziej niż myślałem gibkie.

– Komm! – szepnęła.

Pociągnęła mnie za sobą do dziwnie wąskiej łazienki, gdzie wszystko ustawione było w szeregu – umywalka, kosz na bieliznę, wanna, okno.

Rozebrałem się. Mo była już w wannie, wszedłem za nią, zwarliśmy się. Brodawki i sutki jej piersi były ciemnobrązowe, prawie czarne, tego samego koloru co jej nowy obraz, a ubranie opadło z niej jak wcześniej znikła z pasteli jej ciemnoczerwona bluzka. Była lekka, delikatna, nocny motyl pobłyskujący w świetle żarówek. Powoli usiadła na moich udach jak piękna attacus atlas, a jej skóra była gładka jak skrzydła thysani agrypiny, delikatna, bezszelestna, nie odczuwałem jej ciężaru, widziałem tylko ciemnobrązowe okazałe brodawki jej piersi na tle białej skóry ramion – dwa hipnotyzujące okręgi ze skrzydeł automeris io.



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Marta Jurkowska

godło „ryba”

I nagroda w dziedzinie poezji

Marta Jurkowska

Rocznik 67, olkuszanka, poetka i malarka. Pisze od 2008 r. Jej wiersze były wielokrotnie czytane w „Poczcie poetyckiej” Macieja Szczawińskiego w Radiu Katowice. W 2011 r. ukazał się jej debiutancki tomik poetycki „Poza ramy”, a w czerwcu 2016 r. drugi tomik – „Między rzeką a lasem”. Jest laureatką kilkudziesięciu konkursów poetyckich, m.in. Jana Kulki w Łomży, Jana Śpiewaka i Anny Kamińskiej w Świdwinie, „Śląski Shakespeare” w Katowicach, „O Laur Błękitnej Narwi” w Pułtuskach, Kazimierza Rationia w Olkuszu. Zdobyła również nagrodę główną w Międzynarodowym Konkursie Poetyckim „O Złote Cygaro Wilhelma” w Czerwoncu-Leszczynach. Jej wiersze ukazały się we „Frazie”, „Akanicie”, „Cegle”, „Okolicach Poetów”, „Szafie”, „Gazecie Śląskiej”, „Toposie” i wielu antologiach pokonkursowych. W 2015 r. odbyła się w Bolesławiu jej pierwsza wystawa malarska.

Bóg mi tego nie wybaczy

Bóg mi tego nie wybaczy.
To ja powiesiłam Chrystusa
na przydrożnym drzewie

a potem długo się modliłam
za mężczyznę, który odszedł
do wszystkich diabłów.

Bóg mi tego nie wybaczy,
że noszę jego zdjęcie
jak święty obrazek,

gram na fletni Pana
psalmy i *Hymn o Miłości*,
wołam w głąb ziemi,
w czeluść studni – wróc.

Bóg mi tego nie wybaczy,
że pójdę tam za tobą.
Wynajmę jakiś kąt, wypielę ogródek
będę sadzić dzikie wino
na pomieszanie naszych języków.

Namaszczę ciało wanilią i kardamonem
i oddam się we władanie sił,
których jeszcze nie znam.

Za karę zamknie mnie w pokoju.
Przeszukam szuflady, stare płaszcze,
rupiecie i gazety, aż w gąszczu
granatowej nocy odnajdę klucz.

Bóg mi tego nie wybaczy,
że się otworzę
i będę przyjmować twoje ciało.

Lekcja

Odkąd Bóg nauczył się grać w szachy
wystawia mnie na pierwszy ogień.
To o mnie rozbijają się wszechświaty,
to we mnie wybuchają gejzery
i rozszczepia się atom.

To w moim ciemnym wnętrzu są miejsca,
których szukają uczeni.
Ale nikomu o tym nie powiem – Jezu,
że jesteś naiwny i łatwowierny,
zaufałeś zdrajcy i ladacznicy,
jeszcze mnie ślepą wzięłeś za rękę
i prowadzisz, nie wiem dokąd?

Rysujesz kredą na ulicy,
pokazujesz na niebie jakieś znaki.
Codziennie uczę się Ciebie
zrozumieć.

Procesja

Dziewczynki w białych sukienkach
sypią płatki; z róży, jaśminu i rumianku
na ranę po nieprzespanej nocy.

Podobno tędy chodził Bóg
ale przed wojną zatrzasnął się w niebie
i nikt nie umie Go wydobyć.

Kiedyś do Niego jeszcze wołali;
wspinali się na wysoką górę,
wznosili ręce i krzyczeli swoje prośby

ale widocznie stracił słuch
bo już nie przychodzą.
Nie mam już siły

na kolejną bezsenność, to dźwiganie
piachu pod powiekami, brodzenie
w mule, przecież rano znowu muszę wstać

i dalej nieść to wątłe ciało.

Zażalenie do Pana Boga

Piszę do Ciebie list – mój Boże
bo od trzech dni nie dajesz
znaku życia.

W przedsionku czekałam na miłość,
która do mnie nie przysłała.
Moje serce stało się gniazdem os

a w głowie brzęczy jednostajna myśl
czemuś mnie opuścił,
teraz muszę siwieć sama.

Nie urodzę już córki tylko larwę
ona będzie piła moją krew,
gryzła moje ciało –

moje białe, kruche ciało,
moją prawą i nieprawą stronę –
cóżes mi uczynił.

Tłumaczenia

Czytam o pewnym poecie
tłumaczonym na kilkanaście języków;
poeta pisze o bólu

ale jak wytłumaczyć ból
niemowlęcia z pękniętą czaszką.

Na jaki język przetłumaczyć
głodujące dzieci, wojny, holokaust,
oblewane wrzątkiem dziewczynki

za to, że ich arabskie matki
tłumaczyły się migreną.

Czym wytłumaczyć słowa
proście a otrzymacie –
choć proszę nie otrzymuję,

może ja modłę się w języku
którego Bóg nie rozumie.



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Agnieszka Marek

godło „POLARIS”

II nagroda w dziedzinie poezji

Agnieszka Marek

Bielszczanka, urodzona w 1977 r. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Śląskim i podyplomowo bibliotekarstwo. Pracuje jako nauczycielka języka polskiego. Laureatka kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. J. Różewicza (nagroda główna – 2013 r.), Struny Orfickiej (I nagroda – 2014 r.), M. Czychowskiego (nagroda główna – 2014 r.), J. Kulki, R. Wojaczka, M. Hłaski, M. Kajki i wielu innych. Debiutancka książka poetycka „Wpuść mnie, wpuść” ukazała się w 2013 r. W 2016 r. wydała tomik „(Po)równania z wieloma niewiadomymi”.

Publikacje: czasopisma literackie „Migotania”, „Bliza”, „Tygiel”, „Topos”, „Szafa”, „Helikopter OPT”, portale poetyckie, tomiki i almanachy pokonkursowe.

24 hours

Traci go wieczorami.
A może zwyczajnie oddaje
we właściwe ręce i pomiędzy uda.

Zamiast smakować waniliowe chwile
tuż przed snem. Oglądać deszcz
na swoich piersiach i zachód słońca
dostępny tylko dla niej.

Po prostu odwraca głowę. Zasuwa rolety.
Może przecież podotykać liter – najlepiej tych,
które zgrabnie wyślubił długopisem w jednej
z książek. To jednak trudne. Namiastki obecności

nie bawią, nie mówiąc o pocieszaniu.
Zero wisienek na torcie. Żadnych wspólnych oddechów.
Po mocnym wytrząśnięciu myśli są tylko bzdury.
Że poranne słońce jak landrynka.

Że kiedyś rozpuszczą je razem
pomiędzy językami.

Pospiesznie

Falszujesz rzeczywistość. Najciekawiej przy starych przebojach Krzysztofa K., podczas gdy za oknem przesuwiają się zupełnie błahe stacje. Nic jej nie mówią.

Ten pociąg nie zatrzyma się, ale rozpędzi. W kierunku mgieł, wyszlifowanych czasem szyn. W różnych kierunkach. A ona będzie tylko zmieniała trasy dłoniom, splatała

palce z twoimi. Byle ciaśniej. Lecz niezbyt często pozwoli sobie na szybkie zderzenie z wciąż jeszcze nieznanym kolorem oczu. Żeby się nie zatracić, nie polec.

Bezpieczne są przecież tylko rozmyte pola za oknem, znikające w mroku ścieżki. I choć przyłgnęła do ciebie niepokojąco szczelnie, bądź czujny. Bo może rękę na jej

biodrze powinienes przytrzymać mocniej. Nikt nie wie, kiedy skończą się tory, obudzą prawdziwe stacje.

Wszystko

A poza tym nic. Tylko krótka chwila. Jego skupiony wzrok, gdy zobaczy pociąg u wylotu torów. I poszukiwania czyjegoś uśmiechu za szybą. Moment koncentracji tuż przed

wejściem. Jakieś „Mind your head” – jak błysk, by odnaleźć bezpieczny czas. A poza tym nic. Tylko minuty zaciskania warg, splatania dłoni. Oczekiwanie na nieznaną stację za oknem.

Ten galop w myślach (bo przecież nie w sercu – nie ten rocznik) i szybkie przetykanie śliny. A poza tym nic. Może niecierpliwe otwieranie drzwi. Zaraz później ramion i – żeby było do pary –

ust. Ktoś jeszcze staromodnie odgwizdże odjazd. Coś się spełni.

Na południu bez zmian

Być wilkiem. Być kobietą wilka, przypadkowym Czerwonym Kapturkiem. Może przypomną się wszystkie wydeptane dotąd ścieżki, koszyki z przetartym uchem, kilka ucieczek przed dobrze znanym. A jednak

dróżka niezmiennie się wiję, kusi. Zarośla, chociaż niby wydoroślała. Gdzie tam! Ani tu, ani tam, nigdzie. Jest nadal mrok i błysk – lśniące w ciemności oczy, zbyt piękne zęby. Dlatego krok po kroku –

jak po nitce. Do kłębka, w który zwinie się po wszystkim. Po wszystkich.

Bez planów

Nie myśl o kobiecie z psem, który przecież i tak
nie należy do niej. Podobnie jak ty – nieoswojony,
bez prawa do przygarnięcia. I chociaż podwójne ślady

na piasku czają się tuż po zamknięciu powiek, wymaż.
Po prostu weź przykład – robi tak co wieczór.
A gdybyś chciał uwierzyć, że ułożone w alfabetyczne ramy

książki wzbudzają w niej nieplanowany uśmiech, dziwne
ciepło w okolicy piersi, możesz zwyczajnie zabrać tę myśl,
zakodować. Bo są w twoim domu miejsca, które ktoś oswaja –

z oddali, na ślepo. I nigdy się nie przyzna, jakie to ważne.
A przecież pies może się pojawić, znaleźć właściwą przestrzeń.
Podobnie jak ty inne zakątki, nieznanne dotąd drgnienia.



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Katarzyna Szweda

godło „Łata”

III nagroda w dziedzinie poezji

Katarzyna Szweda

Urodziła się w 1990 r. w Nowym Żmigrodzie. Ukończyła filologię angielską w PWSZ w Krośnie oraz studia nauczycielskie (język hiszpański i język angielski) na Uniwersytecie im. Johanna Wolfganga Goethego we Frankfurcie nad Menem. Pisze wiersze od 12. roku życia. Zdobyła wyróżnienie w konkursie literackim programu Dolina Kreatywna (2006/2007), w konkursie poetyckim Jesienna Chryzantema w 2016 r. oraz drugą nagrodę w przeglądzie „Połowy Poetyckie” Gdynia 2016.

-cichcem-

pamięci dziadka Wasyla Telepa

dziadek myślał że to kostucha a to była stara kozłowska
przyniosła jakieś zielska mówiła że działają na tego *skurwisyna*
i nie miała na myśli starego kozłowskiego tylko grudki pod
dziadkowym swetrem mówiła że oddech w nim słabnie

umierać będzie gdy zatęskni za polem musicie być czujni
żeby nie przegapić jak dusza ciała się wyrywa z objęć
stałem więc i patrzyłem uważnie jak drgały nozdrza wydychały
eternit odłamki świata który już nie ciążył był coraz lżejszy

czy powstrzyma ją sufit? modliłem się żeby tak było
mógłby mi dalej do snu bajdurzyć widziałem jak się ulatnia
powietrze gęste od nadmiaru wspomnień pachniało lasem
a we mnie coś kurczyło się ostrożnie niedokończone rozmowy

dziadek jeszcze przez jakiś czas nas odwiedzał
pilnował żeby lis nie wybierał jajek z kurnika

-wizyta-

to była pierwsza śmierć która niechcący odebrała mi nieśmiertelność
po niej były kolejne mniej szokujące bardziej lub mniej osobliwe
więc tak to się kończy więc to tak i pewne słowa nagle przestały znaczyć
słowa jak zawsze dzieciństwo internat i trzeba było przyglądać się jak odchodzą

jak znicze na świeżych grobach powoli gasną i coraz mniej ich i coraz rzadziej
się tu zagląda a potem zarastają ciała w gęstwinie nowych śmierci i już
trudno dostrzec te odżałowane to w nas wysycha jak Wiśłoka latem
to się zabliznia jak pierwsze stłuczone kolano każda kolejna wymaga kwiatów

więc zanosisz palcami prawej dłoni dotykasz najpierw czoła potem piersi
potem lewego prawego ramienia *a światłość wiekuista niechaj przyswieca*
składasz dłonie odchodzisz w życie

-omamy-

u nas oddycha się marniej zalega nam eternit
za te wszystkie lata gdzie dom nasz był grobem
wysuszał po trochę niewidzialnym wiatrem
w nim się pokładam rozkładam z każdym oddechem
i gasną we mnie widziadła

tylko już w świecie widziałem zaświatów
że śmierć mi nie dziwna minie jak wszystko inne
tylko już w studni utopiłem ulud w nich się kąpałem
z niej piłem z nich czerpałem na każdy kolejny
dzień gdy się zachłysnę czarne mamidła do snu utulą
nie wiem czy naprawdę może wciąż na niby
niby się same wyklują z mokradeł otoczą mnie we śnie
i żywy w nim będę i nieżywy jeszcze

-wschód-

na wschodzie powietrze jest bardziej cierpkie
jak niedojrzały owoc tarniny jest bardziej przejęte
odlotem żurawi z bezańskich mokradeł
dławi gdy się zaciągniesz nie przemyślisz zawczasu

wsiąkamy po kolei w te szare pipidowy
i nie ma zmiłuj jest krzyż przy drodze
i trzeba kwiaty zanosić przeklinać wielbić
z tym jakoś wypada się pogodzić że wysiedła

nas bieda alkohol matkom odbiera synów
i nie ma zmiłuj jest krzyż na plecach i pod
plecami boli od ciężkich wideł pełnych znoju
z tym chyba trzeba się urodzić i pchać ten wóz

sianem nadęty po brzegi aż się przebiera
urodzaj na miarę naszych gorszych czasów
bo przecież kiedyś było *lepiej* bosymi stopy
musimy kisić kisać w wąskim i ciemnym

po kolei wsiać w te wsie dechami zabite
i nie ma zmiłuj jest krzyż dwie dechy zbite aż po ostatnią

-matka-

być dłużnym ziemi czy można nie bać się tego
wsadzać w nią nasienie oczekiwać że wszędzie
że będzie delikatna kiedy już w nią wejdiesz
być jej dłużnym siebie garść kruchej materii
mieć do niej szacunek na gałęzi sznurek
w razie czego

kraść jej korzenie ochrzcić ojcowizną
zapłodnić potem plony z jej łona
wydzierać
kopać
bruździć

grób domem nazwać w nim powoli dojrzewać
ufać że wraz z końcem lata przyjdą
i potwierdzą że tam na pewno jest
coś na pewno i że tak być musi
słono gorzko cierpko



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Katarzyna Kowalewska

godło „nieistotne krajobrazy”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Katarzyna Kowalewska

Urodziła się w 1972 r. w Nysie, ale związana jest głównie z Wrocławiem i Amsterdamem. Magister politologii, ukończyła także studia doktoranckie na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego oraz podyplomowe studia PR. W przeszłości była modelką, dziennikarką, organizatorką wydarzeń kulturalnych w kraju i za granicą. Laureatka wielu konkursów poetyckich, m.in. Nagrody Specjalnej w konkursie poetyckim im. Jacka Bierzina 2016 oraz im. Marka Hłaski, Hugona Kołłątaja, Feliksa Rajczaka, T. Stirmera, Krajobrazów Słowa, Sprostac Wierszem, Wiosny Poetyckiej i innych. Jej wiersze ukazały się m.in. w Magazynie Literackim Minotauryda, w Mega*Zine Lost&Found, w antologiach po-konkursowych oraz były tłumaczone na język angielski.

golem

plucha ciągnie opowieść o grząskim błocie – odejść. rozstrzelone myśli przez potylicę
błądzą pomiędzy wglądem a ośpieniem. w pogotowiu senność. stoję na jednej nodze,
wiatr mną szarpie niczym ślepą kurą. ziarno trafiło się innej. wyrosła piąta ściana,
siedem cudów wsiąkło w tynk, grzyb. zacznij się odjazd. parada niechcianych wcieleń

i nie wiem, od którego mam zacząć topnieć, liczyć znaki wodne na tyłach
wroga – jeszcze w kwietniu zamieć. ścina głowy. czerwien i ochra rozlewają się
w ustach. gorycz ma smak tworzywa, z którego lepię golema. wciskam mu w zęby
toaletowy papier. chipa z godowym okresem wkładam w ucho. zabieram do sypialni.

układamy się do snu o lepszym jutrze. dachówka rozsypuje się niczym magnetyczne karty.

przyciąganie i zachłanność. bogacimy się – przez nieuwagę. przecieka noc. w piątej ścianie
rośnie dziura po atomowej bombie – to tędy przeszła dusza. zrabowała lata świetlne i teraz

nie już nie wychodzi. choć świadkowie mówią: *krewni zakrzepnie, kości się zrosną.*

znowu zrobi się gorąco.

reminiscencje. jatki

szkarłat, finka, blade ciało, cięcie. hipnotycznie zagęszcza się przestrzeń. iskrzy w brzuchu, piła, pełnia. przez eter biegną śnięte arterie, w pogoni wilków za gęsią skórą drży mięsień. w chwili rozdarcia, niebezpiecznie otwarci w poprzek instynktów dochodziliśmy do szczytu. przyczajony,

w cieniu jasności podałeś mi na języku blask upadłych – podniosłam się w tym pięknie stygmatów i przyłożyłam do warg – zapach pizma i ogień rozniósł się po zadymionych miastach, które nigdy nie śpią. pamięć ofiar splełanych własną siecią snuje się w zamroczeniu – słodko i wstrętne,

jak Catherine Deneuve w filmowej kamienicy oplacanej przez szaleństwo. to są te powroty, które znikają nagle i wściekle. gryzie ten obraz ślepców, na styku z fascynacją gorączkuje terror. uczuleni na bliskość rozrastają się w grzechu. noc się objawia w ikonie z lateksu. w miąższu zepsutych owoców:

ci co wymościłi zarazą gniazdo i nędzą nagości w bogactwie fetyszy stracili, idole, herosi wątpliwych powstań, moi oblubieńcy zamęt obłądnych i trud podziemnych – wywołani z kliszy jelit na potrzeby krwi. nasze tajemnice i wrzaski zrzucane z mostów. i las rąk wyrastający z mulistego dna, to tło tłoczące się pod nami. głodne i zachłanne.

wołam: *nie wracaj*. pod maską, przez sen.

obce

kulawo odchodzę, moje stopy są obce – na zewnątrz. wtóruje im krzywizna nieba przy zetknięciu z przekleństwem – wychodzę przez okno, zajęte płonącym miastem. chód zdradza łatwopalne, które trzymam na smyczy i w garści rozsypanych szkieł, śrutu, moja zdrada trzyma się prawdy, wierność – wróbel na celowniku – w parku jurajskim szuka sobowtóra. jak gdyby poskąpiono mu resztek w czasach współczesnych

wyjada mi z ust sól tej ziemi, pożogę i sędziwy strach – archetypy oddalenia. mówią o nich nawet w radiu – z innej planety. pochodzą moje racice, wypalone znaki i wstyd – pochodzą i odejdą. od skóry jest blisko do krwi. nawet jeśli to niemożliwe – obce bawi się w owce, kozy i świnię. wróbel uciekł z klatki – stop klatki – w odciążeniu – grawitacje. grawitacje.

kilka sekund

i zawęża się pole, chwilę wcześniej myśli walczyły tu z uczuciem,
że to już koniec – zawiązuje pąk na łodydze, która przemarzła i nie weszła
jak słońce na Arktyce – zawiązujesz krawat do młócki, chociaż nie jesteś
farmerem, masz jęczmień w oku, ugór w ustach. zbierasz plony i powtarzasz się

przez przypadek wycięty z całości pomyłek albo innego nieczytelnego fragmentu
przez ogień, powietrze i wodę. biegniesz pod prąd – nieopłacony i przeceniony
grubą kreską – dla której niespokojni dali by się zabić – tymczasem. spokojnie

czuwasz – przy łózkach zmarłych, pochowanych za życia. może obudzą się w nas
siedliska wygasłych komórek lub sielskie wakacje pod gruszą, co okazała się wierzbą
i okazałe ciała trafił szlag.

wszystko jest w mózgu i trzeba czekać – mówisz, ale nie potrafisz już pisać i czytać
ani z jednej gwiazdy, która jego jest rozkładem elementarnym
w elektrowni po katastrofie.

ruchomy plan. retusz

zaproszyć się w tych zaczerwienieniach. splunąć siarką w rozsypujące się
poszycie. drę. kadr po kadrze. efekty specjalne i barwne. pod językiem
gotowy na wszystko dynamit. francuski, nie byle jaki – lepik – w mistyfikacji
wydarzeń. chirurgiczny montaż. rdzeń uwiera zewnętrzną pamięć. śnieg pada.
ziemia puchnie. w tych zaczerwienieniach ścina się i kostnieje. mumia
na wysokości chmur. martwa cisza i natura martwa mieszają się
w procesy, wybory, punkty odniesienia. przy spalaniu ślepy traf
zagląda w wybite okna. tu kruk krukowi oko wykole, rozbije okrągłą sumkę
o kant wysp owczych, kamienie z wilczego żołądka. w zbliżeniu. przyłodek strachu.
ciarki na skórze. mrówki na planie. przekraczamy siebie, szkiełko jak kosmos

i wchodzimy na wizję. tam w dolinach – pracuje każda mała śmierć,
duże rozsiadły się na szczytach. wśród suchego chrzęstu –
krew w akcji się toczy i kręci.



XXIV Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Urszula Kopeć-Zaborniak

godło „szklany człowiek”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Urszula Kopeć-Zaborniak

Urodzona w 1979 r. Ukończyła filologię polską i studia podyplomowe w zakresie bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Cieszanowie. Publikowała w kwartalniku „Aspekty filozoficzno-prozatorskie”, „Akancie” i „Poradniku Bibliotekarza”. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów w dziedzinie poezji i prozy. Debiutowała jako laureat w konkursach. Laureatka XII edycji Krajobrazów Słowa. W 2013 roku opublikowała debiutancki tomik „Data ważności”.

krok w wodę

jestem małpą. no nie może lepiej jednak księżniczką.
bez przesady. czy to ma znaczenie? barwy nie kąpią
z tęczy bo ludzie tego oczekują.

czasami czuję się jak gnojarz. toczę swoją kulkę.
tylko czy świat przejrzy się ze mną w lusterku?
może zapach go przestraszy. paranoja.

jutro ma swoje minuty. przeskakuje przez nasze
wahadła i popycha myśli chociaż czasami stoją
nad przepaścią. patrzą w śmieci zatopione
w wirze. na palce nanizują wiarę by nie utonęła.

jutro odnajduje w szopie taczki i ustawia pod naszym
oknem tylko parapet nie jest z nim w zmwowie. gryzie
w pięty kurz wyprodukowany przez rzeczywistość
bo parawan zawsze izoluje od prawdy.

ale dokąd?

uciekła przed jutrem w kaloszach wypełnionych odciskami towarzyszącymi zniewolonym stopom bo przecież ktoś lub coś zawsze jest i bez pytania wskazuje palcem przestrzeń z którą chciałaby się

minąć. już wtedy zamieszkała parę myśli stąd ale znalazło ją. oznaczyło własnością zgłaszając adres zameldowania w urzędzie jakby posiadało prawo do dysponowania przyszłością człowieka który zabłądził

w lesie. czasami oczy udają że nie widzą drogi tylko przestawiają uparte drogowskazy. koło ma kanty. okna nie chcą się otworzyć a zegar wysyła wskazówki na wczasy pod gruszą chociaż ta dawno

uschła. usiadła i otrzepała kurz z butów. czasami ucieczka nie ma sensu.

jej fotografia

podniosła mierzejowy brzeg morza. podparła
kijem który nie myślał o buncie. zapatrzył się
w piasek trzymający jego koniec. potulny jak głaskane
zwierzątko chociaż niewiedza nie usprawiedliwia
zamiarów.

wniosła swoje myśli pod mokry dach. usiadła
bo wzrok wszedł w butelkę zdziwiony jej obecnością.
zapomniał że obcość zabiera powietrze. zmienia
przeznaczenie więc utknął.

w ciemności wszystko jest głośniejsze. otwiera powieki
tylko nie marzeń a szkoda bo bez tych kolorów jej kroki tracą
jutro.

wada w ruchu

odpadła klamka więc bezczelnie ukradła dotyk
podłódze. potoczyła się pod kredens w cień rzucany przez
klucz. przywłaszczyła minuty które łapały za sznurowadła
dni. pozwoliła sobie by przez chwilę nie istnieć dla świata
i zabrudzić twarz.

ładna improwizacja rozsypanej na kawałki chwili.
przecież wszystko można naprawić. przywrócić do formy
sprzed uderzenia. tylko czy warto zaciągać kolejne
zadłużenie skoro lansuje się wysokie oprocentowanie?

najgorsze że czasami trzeba otworzyć drzwi
przed bólem.

oddech Bronki

przede mną stoi dziecko w dłoniach trzyma
kamień. szary z czarną plamką na sercu bo chyba
w tym miejscu właśnie ma serce. chce go nakarmić
żeby nie umarł tylko nikt nigdy nie widział go na obiedzie.

to nie bajka. nie ma zakończenia z morałem. autor
miał zamglone okulary trzęsące dłonie i zgrzytające zęby.
człowiek z pasją która każe mu wybierać. po drodze rozruca
widelce. nie ziarnka grochu jak księżniczce pod poduszki.

nasz kamień uwił sobie gniazdo w bucie. duży palec prowadzi
z nim wojnę na dotyk ale nie ma plamki więc może go
nie ma? może to iluzja bo tak wygodniej? może ktoś go wrzucił
do studni i samotnie tonie chociaż my również walczymy

o powietrze?